

A teraz defiluj!

Antologia





18. Opowiadania

International Short
Story Festival

Międzynarodowy Festiwal Opowiadania
Towarzystwo Aktywnej Komunikacji
Wrocław 2023

Redakcja: Jakub Skurtys

Projekt, zdjęcia i skład: Magdalena Basak

ISBN 978-83-63945-10-7

18. Międzynarodowy Festiwal Opowiadania

Dyrektor: Marcin Hamkało

Kuratorka Literacka: Agnieszka Wolny-Hamkało

Producent: Paweł Rogowski

Koordinacja i PR: Magdalena Basak

Współpraca koordynacyjna: Aleksandra Jach

Copyright for this edition by

Towarzystwo Aktywnej Komunikacji 2023

www.opowiadania.org

redakcja@opowiadanie.org



TOWARZYSTWO
AKTYWNEJ
KOMUNIKACJI



Zadanie „Festiwal Opowiadania – edycja osiemnasta” jest współfinansowane ze środków finansowych otrzymanych od Gminy Wrocław.
www.wroclaw.pl

▶ Jakub Skurtys
Wstęp

Spis treści

Spis treści



Jakub Skurtys

Wstęp



Justyna Hankus

Martwy ciąg



Tomasz Konatkowski

Parada



Łukasz Kosik

Rok jakiegoś końca



Katarzyna Latek

Mrówki



Marek Maraszek

Podczas gdy Ernest Nemeček podziwia Feriego Acza, stojący na szczycie wzgórza Feri Acz prosi Ernesta Nemeczka, by ten się nie bał



Patryk Toboła

Pogrzeb



Ewa Nowakowska

Dusza w studni



Bogan Nowicki

Wniebowzięty



Artur Pacuła

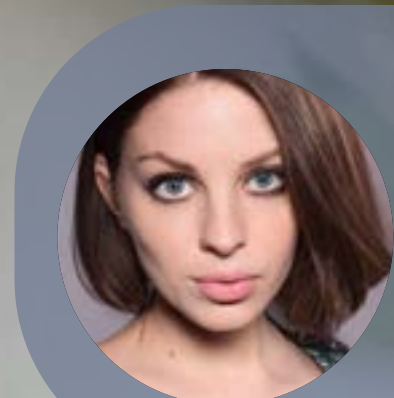
Jak mam do Ciebie mówić?



Bartek Zdunek

Anna Nikołajewa nie defiluje





Jakub Skurtys
Wstęp

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

„A teraz defiluj!” – z takim hasłem przewodnim mierzyli się autorzy w konkursie 18. Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania. Nie znaczy to oczywiście, że ta niespotykana na ogół w polszczyźnie, rygorystycznie brzmiąca struktura apelatywna miała ograniczyć ich możliwości kreacyjne. Przeciwnie: wyznaczała ona raczej pewien próg wrażliwości, za którym zaczynała się twórcza interpretacja tego, czym owa defilada być może i w jaki sposób tytułowe zobowiązanie do defilowania spleść z własnym tekstem. Niektórzy rzeczywiście zdecydowali dosłownie włączyć to wykrzyknienie w monolog wypowiedziany lub dialog bohaterów, ale u większości osób – w tym u wyróżnionych i samego laureata – była to raczej wskazówka, w jakim kierunku podążać i z jakich rekwizytów skorzystać. Słownikowo „defilowanie” wprowadza bowiem nie tylko przemarsz i dumę, ale też przymus i ekspozycję – na coś zewnętrznego, na władzę oka, które ocenia i podporządkowuje sobie podmiot (ludzki lub zwierzęcy, gdy jesteśmy w słowniku myśliwskim). A tutaj zaczyna się już coś, co wykracza poza ograniczoną sferę tematów, a co stanowi sedno każdej wielkiej literatury – umiejętność namysłu nad mechaniką języka, nad tym, kto i do kogo mówi w dziele oraz jakie wiążą się z tym konsekwencje.

Nietrudno zauważyć, że te dziesięć wyróżnionych opowiadań prezentuje bardzo różne style i odmienne problemy, a tym, co je organizuje i łączy, jest właśnie stosunek do tytułowego hasła – raz jako tematu (pochód, defilada, przemarsz, odmiennie zresztą rozumiane), a innym razem jako struktury apelatywnej – fragmentu rozmowy, zaklęcia czy nawet puenty, ironicznie zbierającej wcześniejsze losy bohaterów. Znajdziemy w tym gronie teksty, które postawiły na śmiały, formalny eksperyment, problem paradowania rozgrywając również jako kwestię estetyczną – ekspozycji samego języka, oraz takie, które oddane są znacznie bardziej samemu

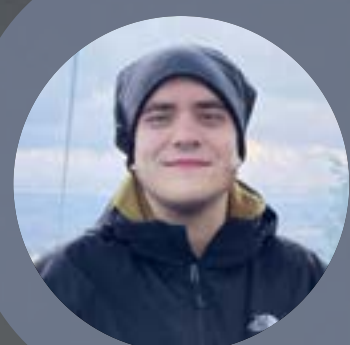
żywiółowi opowiadania, możliwościom tworzenia narracji i wciągania czytelnika w historię. Mamy utwory dość wierne rzeczywistości, stawiające na realizm w tworzeniu postaci, choć już niekoniecznie na faktografię, oraz takie, w których autorzy dokonują raczej hipotetycznych zanurzeń, testując naszą wrażliwość na dziwność i wypaczenie, od gawędy, przez metafizyczną opowiastkę grozy, po alegoryczną paradę widm z przeszłości. Są opowiadania utkane ze wspomnień lub hipotez, wychylające się w przeszłość nieodległą, najczęściej ku PRL-owi, ale też takie, które pozostają wierne sprawozdawczej funkcji literatury i próbują mierzyć się z „tu i teraz”, odpowiadając na wezwanie czasów.

Czy po stole defilować będą natrętne mrówki, doprowadzając do rodzinnego kryzysu, czy – w iście bułhakowskim stylu – na paradę zaprosi nas defiladowym krokiem Filut, kocur Falczaka, defilada i sama defiladowość naszej egzystencji na ogół inklinuje jednak w opowiadaniach niepokój – związany z dziwnością istnienia, z samą ekspozycją na coś zewnętrznego, z poczuciem bycia „na widoku”. Nie zawsze musi więc paść rozkaz, komenda wojskowa (ten militarny aspekt wydaje się najbardziej oczywisty – i to właśnie jego wśród wyróżnionych tekstów brak) czy pojawić się jakaś próba zdyscyplinowania bohaterów. Czasem wystarczy sama sugestia uczestnictwa w paradzie, w której tak niewiele od nas zależy, by odsłoniła się źródłowa przemoc realnego. Jak pisał jeden z naszych wybitnych poetów XX-wieku, Jarosław Markiewicz, miłośnik filozoficznej wykładni tytułowej defilady i autor m.in. tomu *Podtrzymując radosne pozory trwania pochodu*: „Strach życia, który wstrząsnął/ białym polem, oddzielił we mnie skórę/ od kości,/ od tamtej pory chodzę z chorągwią skóry/ przytwierdzaną do byle czego,/ do ściany, do podróży,/ do pochodu, do chorągiewek/ na dachach świata”. Uczestnictwo w literackiej defiladzie to właśnie takie obnoszenie się

z „chorągwią skóry”, a pisanie o niej – z czego autorzy wyróżnionych opowiadań doskonale zdają sobie sprawę – to studiowanie warunków „przypięcia do byle czego”.

Osobno – prawem laudatora i jurora – wspomnieć chciałbym o opowiadaniu nagrodzonym, a więc tekście o przydługim (ale jakże uzasadnionym), poetyckim tytule *Podczas gdy Ernest Nemeček podziwia Feriego Acza, stojący na szczycie wzgórza Feri Acz prosi Ernesta Nemečka, by ten się nie bał*. Można powiedzieć, że jego autor, Marek Maraszek, korzystając z podpatrzonych u naszych czeskich braci „nieznośnej lekkości bytu”, stworzył bardziej filozoficzny traktat, niż opowiadanie. A jednak historia ta, choć złożona z czterech bloków i zestawu powtarzanych w różnych układach figur tekstowych, potrafi nie tylko wzruszyć, ale też skonfrontować czytelniczkę z grozą istnienia i lękiem przed niebytem. Główny bohater, nieznan nam z imienia chłopiec o aparycji Nemečka, a więc raczej wątły, wręcz przezroczysty, rozrysowując na stole za pomocą kulek chlebowych nasz układ planetarny, ćwiczy się w ubywaniu, oczyszczaniu własnej przestrzeni, a ostatecznie: w znikaniu, podobnie jak studiowany przez niego Pluton, który zaraz – to znaczy właśnie teraz, lada moment, za kilka dni, bo rzecz dzieje się przecież w bezczasie dzieciństwa, na progu – przestanie być planetą. Można powiedzieć, że w narratorskiej tej historii odbija się niewinność wszystkich chłopięcych bohaterów, którzy nie godzą się na wejście w adolescencję. Realizm magiczny rodem z wczesnej prozy Pawła Huellego spotka się tu z grozą istnienia pośród innych ludzi, z byciem ujętym jako nieustanne zderzanie się materii. I trochę o takim unikaniu egzystencjalnej kolizji traktuje moim zdaniem zwycięski tekst. „Nie bój się, Erneście Nemečku” – ma nas zapewnić w pewnej chwili Feri Acz zgodnie ze scenariuszem szkolnego przedstawienia o *Chłopcach z Placu Broni*, ale czy rzeczywiście powie te słowa, czy na zawsze

zostaną one przypuszczeniem w głowie bohatera, czymś, co ma dopiero nadejść, ale nadejść nie może, bo na progu powstrzymał je sam mechanizm opowiadania? A skoro tak, co pozostaje z tekstu Maraszka, jeśli nie właśnie ów lęk, toczący się przez przepastnie pusty wszechświat jak chlebowe kulki po kuchennym stole? Wraz z bohaterem zamykam wówczas oczy i myślę, „myślę o przyszłości, takiej, do której prowadzą nitki niemożliwych do odrzucenia wnioskowań”.



Justyna Hankus
Martwy ciąg

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Lubiłem moją senną suwnicę z cichym wizgiem przejeżdżającą przez szyny wtopione w beton terenu fabryki. Miała taką motorykę jak ja, była duża i powolna. Na nocnej zmianie rozjeżdżała powidoki z żarzących się żarówek i kabli mokrych od deszczu, przecinała trójkątne cienie bram, w dzień wozila utoczone nakrętki, wkrętki, śruby i złączki, a ja, drzemiąc, tylko przełączałem dźwignie.

Moją mechaniczną vegetację przerywało czasem piwo z kolegami, ale im przybywało wciąż mięśni i tatuaży, a ja chciałem mieć tylko święty spokój. Nasze światy rozjechały się dawno temu; ja tolerowałem ich, bo nie miałem innego towarzystwa, oni tolerowali mnie, bo fajnie się pokazać na mieście ze Słoniem. Niewiele rozmawialiśmy; ja nie miałem nic do powiedzenia, a oni mówili wyłącznie o kobietach, futbolu i atramentowych orłach z napisem „Bóg, Honor, Ojczyzna” na bicepsach. Ich narodowa duma rosła wprost proporcjonalnie do mojej nudy i pustki, której nie umiałem niczym wypełnić.

– Co, Słoniu? Fajne? – Remek, kolega z dawnej klasy, wyprężył biceps przed moim nosem.

– Uhm – spojrzałem na nową, wijącą się dwukolorową flagę wokół jego ramienia i wstałem.

Spuścił rękaw.

– Do Waldka na siłownię przyjdź, pokaże ci, co i jak... blisko masz...

– Nie wiem...

– Przyjdź, zobaczysz, z chłopakami pogadasz...

Postanowiłem piwo wypijać w domu.

Małoojczyźniana pasja „chłopaków” od Remka nijak mnie nie pociągała. Jak na mój gust za dużo tam było piłki nożnej i Matki Boskiej. A poza tym – nie umiałem się bić.

Gdy patrzyłem rano w lustro, widziałem swojego ojca. Ta

sama szeroka twarz z rzadkim zarostem, te same, ciemne oczy i włosy, które nie dawały się ułożyć, masywny kark i ramiona, a niżej zwalisty, rozlany korpus bladego ciała; ponad dwa metry, niemieszczące się w lustrze. Poruszałem się wolno, jak lodowa góra. Cały ojciec, mówili sąsiedzi, uśmiechając się życzliwie i z nutą troski...

Kiedy rzuciłem studia, wróciłem do domu i zatrudniłem się w fabryce śrub; przeszedłem szkolenie na operatora suwnicy i dołączyłem do robotników pracujących na trzy zmiany; byłem zadowolony. Ojciec trochę gderał, ale w końcu się pogodził z tym, że nie zostanę inżynierem. Zmarł rok później, jedząc pączka. Tuż przed śmiercią stracił smak. Gmerał widelcem, przerzucając cząstki jedzenia z jednej strony na drugą, rozgniatając je, mieszając z sobą, by następnie rozetrzeć po talerzu.

– Bo to musi mieć smak, smak – mówił cmokając, pocierając kciuk i palec wskazujący, jakby solił; i dalej siedział, patrząc w talerz, jak we wróżbę.

Całe życie pracował w piekarni znajdującej się w naszej kamienicy, pod naszymi oknami i codziennie przynosił bułki i ciastka, które się nie sprzedawały. Zjadał wszystko, popijając piwem, rozłóżąc się na boki i rozpulchniając z latami coraz bardziej, tak że gdy siadał w fotelu, tracił swoją ludzką formę. Kiedy rzuciła go farmaceutka z pobliskiej apteki, do której codziennie chodził mierzyć ciśnienie, przestał się myć i wychodzić z domu. Dźwigał się z fotela tylko po to, żeby przejść na balkon, gdzie palił najtańsze papierosy, a cikami pstrykał na ulicę. Raz trafił pana Rysia wariata, który siedział przy bramie i jak zwykle rozwiązywał krzyżówki; śmiał się z tego tak, że musiał przytrzymać się barierki, a Rysio śmiał się także, pokazując mu wypaloną w papierze dziurę. Z tego śmiechu na spodniach ojca robiła się ciemna plama; już wtedy był chory.

A potem, gdy umarł, została z niego tylko skorupa, skurczona

do rozmiarów psa; rak wchłonął go zupełnie, a potem wyparował. Patrzyłem na niego zdziwiony, kiedy leżał w trumnie, porównując z tym obrazem, który jawił mi się w głowie, gdy pomyślałem: ojciec. Nijak nie zgadzało mi się jedno z drugim. Po pogrzebie, zawijając nogami, poszedłem do naszej piekarni, kupiłem wszystkie ciastka, które zostały z tego dnia i zjadłem na górze. Później rzygałem całą noc.

W naszej kamienicy mieszkali Królowie, doktor Lasko, pan Rysio i ja. Wszyscy spotykaliśmy się wieczorem w okolicy schodów wejściowych. Ja, żeby palić i gapić się przed siebie, Królowie, żeby palić i ewentualnie napić się wódeczki, pan Rysio, żeby rozwiązywać krzyżówki, a doktor wyprowadzał swojego psa, równie starego, jak on sam.

– Józek, znaczy Adam – powiedział do mnie doktor jakiś miesiąc po śmierci ojca, gdy schodził po schodach a ja sapiąc wspinałem się na górę. – Będę z tobą szczery, twój ojciec pożyłby jeszcze, gdyby o siebie dbał, pomyśl o sobie...

– Znaczy? – udałem głupiego.

– Rower chociaż... i nie jedz tego – pokazał palcem na drożdżówki, które niosłem.

Wzruszyłem ramionami.

Ale kilka dni później do doktora wprowadziła się jego siostrzenica, Zosia, świeżo upieczona uczennica studium hotelarskiego. Była drobna jak wróbel i mógłbym ją zmieścić w dłoni. Spłonąłem, gdy podała mi rękę miękką jak wata i odwróciłem głowę od białej bluzki z rozpiętym guzikiem w miejscu, gdzie rysowało się wgłębienie między piersiami, maleńkimi jak cytryny.

– Śliweczkę? – zapytała i podsunęła Królom i mnie koszyk z owocami.

Sięgnąłem. Gdyby zaproponowała arszenik, też bym wziął. Roztrzęsiony wyszedłem na górę i w przedpokoju spojrzałem w lustro. Przypominałem stary, wysiedziany fotel ojca, prze-

tarty to tu, to tam, duży i miękki.

Tej nocy śniła mi się pierwszy raz i odtąd rosła we mnie niczym zaczyn chleba i wciąż jej przybywało.

Jakiś czas później zauważyłem, że Remek znika gdzieś zaraz po pracy. Ciągłe się spieszy i nie mówi, gdzie. Właściwie mnie to nie obchodziło, zastanawiałem się tylko, czy nie wplątuje się w jakąś aferę klubu kibica KS Śrubena Mix, ale do listopada było jeszcze daleko, chyba że nasi miejscowi fani już szykowali jakąś grubszą małopolską niespodziankę na narodowe święto.

Moja dobra suwnica przestała się do mnie odzywać, nie zgrzytała śpiewnie, a przynajmniej ja przestawałem ją słyszeć, zły, gdy moja zmiana uniemożliwiała mi wieczorne spotkanie Zosi przed wejściem do klatki.

Każdego innego dnia stałem cierpliwie, podpierając ścianę i kiepując do puszki.

Wrześniowy wieczór rozciągał przyjemne cienie nad ulicą. Słońce oświetlało górą fasady, rzucając na dachy żółte smugi; wydmuchiwałem dym, starając się trafić w krążącą w pobliżu muchę. Pan Rysio siedział na schodku, mamrocząc i licząc kratki w krzyżówce. Jego szaleństwo było już mocno widoczne, zwłaszcza, gdy nakładał na siebie gumową głowę konia, przez co wyglądał jak żywy BoJack Horseman.

Pani Królowa karmiła gołębie, krusząc bułkę na chodnik.
– Adam – wyciągnęła do mnie rękę, żebym pomógł jej wstać. Dźwignąłem ją w górę. Otrzepała ze spódnicy okruszki, gołębie zatrzepotały, a gdy uniosły się i rozpierzchły, zobaczyłem Zosię, która w towarzystwie Remka szła wolno w stronę domu. Miała spuszczoną głowę i widziałem dokładnie równy przedziałek w jej ciemnych włosach, a on sapał nad nią jak miech kowalski.

Zazgrzytałem zębami, oderwałem się od ściany.

Koń dźgnął ołówkiem w krzyżówkę i powiedział:

– Abberacja na osiem liter, druga pe.

Przełamałem się tydzień później. Kupiłem karnet na siłownię.

Pierwsze kilka razy zaliczyłem, gdy wiedziałem, że w siłowni nie będzie Remka i innych moich kolegów. Nie chciałem, aby ktoś znajomy był świadkiem mojej niezdarności i groteskowych wysiłków trzymania spiętych pośladków i wciągniętego brzucha. Waldek był wyrozumiały, poklepywał mnie zachęcająco, a gdy już umiałem uchwycić drążek i unieść go w martwym ciągu, kazał mi przychodzić na regularne treningi.

Wstałem we wtorek wczesnie, poszedłem do kuchni zaparzyć kawę; na śniadanie, według instrukcji od Waldka, który wyliczył moje BMA, była sałata, pomidory i jaja na twardo, trzy sztuki. Sałata smakowała jak papier, pomidora zasypałem pieprzem i solą, jajka połknąłem... Pośliniłem palec i poprzyciskałem go do blatu, nabrałem okruszków z chleba i włożyłem sobie do ust, ścisnęło mnie w śliniankach. Wolno otworzyłem lodówkę; leżący w papierku plaster szynki przemówił do mnie czule.

Zamknąłem lodówkę, odbicie mojego ciała zakotłosało się w metalowej powierzchni drzwiczek. Postąłem chwilę, potem zawiesiłem torbę na ramieniu i zostawiając duszę przy lodówce, wyszedłem z mieszkania, wolnym kroczkiem schodząc z drugiego piętra.

Na dole obszczał mnie pies doktora, potem potknąłem się o wystającą wycieraczkę u Królów, a na parterze spotkałem pana Rysia.

Siedział w otwartych drzwiach na schodach i wpychał sobie kajzerkę przez gumową paszczę konia. W drugiej ręce miał kefir, a pod pachą blok z krzyżówkami.

– Co? – przełknął, a szyja konia zmarszczyła się z furknieniem.

Bezwiednie wpatrywałem się w butkę.

– Chcesz trochę? – zaburczał, zezując przez mały otwór w masce.

– Nie, nie – zaśmiałem się sztucznie i przełknąłem ślinę. – Na trening idę – dodałem bez sensu i dalej stałem w progu.

– Odprowadzę cię.

Siłownia była po drugiej stronie ulicy. Poszliśmy nieśpiesznie, ja jakby wolniej, w lewo, po pasach i w prawo. Głowa konia na panu Rysiu przechyliła się nieco na jedną stronę, przez co wyglądał dość nieśmiało.

– To już tutaj.

– Poczekam na ciebie – oświadczył koń i usiadł na murku. Zostawiłem go tam, patrząc przez ramię, jak próbuje wypić kefir.

Przekroczyłem próg klubu, a smród stęchłego potu wpłynął mi w gardło i oblepił na mokro; skrzywiłem się, bo ślina napłynęła mi do ust i poczułem nieodpartą chęć splunięcia. Wzdrygnąłem się mimowolnie, starając się wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu, którego wciąż mi brakowało. Szara przestrzeń wnętrza, przymglona, chwiała się na boki w naprzemiennym ruchu ćwiczących ramion. Metalowe krążki ciężarów, ułożone w piramidy, trwały sennie niczym strukturalne stwory; miały lepłą, chropowatą powierzchnię i odzywały się zgrzytliwie, gdy je ruszono.

Skinąłem głową Remkowi – ćwiczył z tyłu, obrócony bokiem, skupiony i lśniący od potu. Zrobiłem rozgrzewkę, porozciągałem się, poćwiczyłem ze skakanką, krótko, bo moje skaczące dwa metry ciała czyniły spory hałas i zanim sięgnąłem po ciężary znów pojawiła się niechętna myśl, co ja tu właściwie robię. Jednak Remek wciąż zginał i prostował ręce z hantlami a mnie stanęła przed oczami Zosia i spojrzenie jakim obrzuciła jego bicepsy.

Wziąłem dwa krążki, zapiąłem i postawiłem stopy na macie. Pochyliłem się i ująłem gryf z dwóch stron. Wyprostowałem tors, tak jak mi tłumaczył Waldek, ciągnąc drążek blisko ud i wypychając biodra w tył. Stęknąłem. Waldek, krótki, silny chłop o masywnym korpusie, stał z przodu, korygując błędy i pokrzykiwaniem zachęcając mnie do wysiłku. Z góry spływało brzydkie światło, rozpraszając się nad ćwiczącymi. Moje ciało jęczało, zapach potu dołączył się do bukietu powietrza na sali; w kroku miałem mokro, a po kolejnym powtórzeniu przed moimi oczami pojawiły się mroczki.

Z mroczków wyłoniła się Zosia z Remkiem.

Zrobiłem jeszcze jedno powtórzenie. Musiałem jednak nieco zwolnić, żeby nie umrzeć, co zauważył trener, więc stanął przede mną i zapytał, czy „jedziemy”, bo się lenię. Kiwnąłem głową; Waldek trącił butem moje stopy, żebym rozsunął je szerzej. I wrzasnął, że na raz. Wykonałem, jak trzeba, nienawidząc całego świata.

Oprócz Zosi.

– Mniejsze zgięcie grzbietowe niż w przysiadzie, pozycja wyjściowa dobrana indywidualnie do naszego układu dźwigni, ruch sztangi powinien być na siebie. Raaz! Dalej! Raaz! – wypluwał drobinki śliny, mobilizujące nas wszystkich do wysiłku.

Pierdolnąłem ciężarem o matę i spojrzałem na gryf z nienawiścią.

– Ruszaj! – wrzasnął trener – Raaz!

Targnąłem ciężar w górę.

Kurwa. Oparłem się w szatni o ścianę, nakryłem twarz rącznikiem i próbowałem przywrócić sercu normalny rytm. Remek poklepał mnie po ramieniu i śmiejąc się wyszedł z kolegami.

– Widzimy się w pracy – rzucił.

Wypiłem wodę, przebrałem się; trzęsły mi się nogi, gdy wychodziłem na zewnątrz.

Pan Rysio spał na murku, zwinięty w kłębek. Głowę konia miał zadartą na czoło, krzyżówki przytulone do piersi. Nad nim stało dwóch młodych mężczyzn – czarny z kitką, którego widziałem na sali, za pomocą zapalniczki podpalał mu sznurówki. Pan Rysio wierzgnął nogą.

– Tańcz, dziadu! – roześmiał się cienko.

Podszedłem szybko.

– Zostawcie go – warknąłem.

Spojrzeli na mnie, oceniając swoje szanse. Czarny zmienił się na twarzy.

– Dobra, chodź – ten drugi trącił go i splunął. – No chodź – podniósł głos i klepnął czarnego w klatę.

Poszli.

– Nie powinien pan tu tak leżeć – powiedziałem z wyrzutem do Rysia i rozluźniłem pięść. – Potrzeba panu kłopotów?

– Józeczku – zaczął.

– To ja, panie Rysiu, Adam. Niech pan wstaje, idziemy do domu.

Zaczął padać deszcz.

Na progu naszej kamienicy Król z żoną popijali wódeczkę z szarej torebki, chroniąc się pod daszkiem. Obok mókł wózek pełen puszek po piwie i złomu.

– Co ci się stało? – zapytała pani Królowa, unosząc się nieco i zadzierając na mnie głowę.

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że na siłowni byłem. Oparłem się o mur, bo ledwo stałem. Królowie obserwowali mnie małymi oczkami, zadziwiające, jacy byli do siebie podobni.

– Ale co, niefajnie? – zapytała kobieta ochryplym głosem.

Machnąłem ręką, westchnąłem.

- To kara jakaś, ktoś ci kazał? – drążyła.
- Nie, no... – zacząłem i zamilkłem.
- Zakochał się – furknął Rysiek przez gumę i Król pokiwał ze zrozumieniem głową.
- Cicho... – syknąłem, rozglądając się.
- Aaaa... – powiedziała Królowa i wyjęła wymiętolonego papierosa. Zapaliła i podała fajkę Królowi. – Poszła z psem... Chcesz? – podała mi piwo.

Nie było tego w diecie. Niech tam, pomyślałem, zawleczone odskoczyła z sykiem.

Podjechał samochód, który wcisnął się w wąskie miejsce do parkowania. Po chwili wysunęła się z niego kobieta i wyciągnąwszy w górę ręce, zaczęła szamotać się z parasolem. Wreszcie otworzyła płachtę, z której spuszczone były trzy zaczepy drutów – dwa z jednej i jeden z drugiej strony.

– Oł, taki parasol – odezwał się pan Rysio – jest, a jakby go nie było. Jak miłość.

I wtedy nadeszła Zosia uwieszona ramienia Remka, trzymającego nad nią parasol jak nad kruchą bombką ze szkła.

Kilka metrów od nas zatrzymali się. Remek pochylił się nad nią.

Wstałem.

Parasol był niebieski w biało–granatowe zygzaki.

W swoich nieprzyzwoicie mokrych snach widziałem stosy miękkich, lukrowanych pączków wypchanych różą, ciepłe drożdżówki, ciężkie od słodkiego sera i czekoladowe croissanty, rozpływające się, zanim ich dotknąłem. Budziłem się z jękiem.

Sięgałem po omacku i moje palce trafiały na stolik lepki od śliny, gdzie tkwił przyschnięty lizak na patyku. Odrywałem go z mlaśnięciem i wpychałem sobie do ust. Tak ukojony zasypiałem ponownie.

Nie poszedłem więcej na trening.

Z parteru dolatywał zapach świeżego pieczywa, zamknąłem okna, zasłoniłem zasłony, zasnąłem w fotelu. Nic mi się nie śniło.

Suwnica jechała smutno; wypukłe guziki nawigacji mrugały do mnie czerwono i zielono; naciskałem je kolejno, przełączałem dźwignie.

Po zmianie poszliśmy na piwo; Remka z nami nie było. Zosia nie zjawiała się wieczorem przy klatce schodowej.

– Zniechęciłeś się? – spytał mnie Remek na drugi dzień. – Nie byłeś już kilka dni, Waldek o ciebie pytał.

– Uhm.

– Nie pękaj, Słoni, z twoim potencjałem mógłbyś wszystko. Wszystko mnie nie interesuje. Nałożyłem kask, wsiałem do suwnicy, powiozła mnie w cień, w szarość i kurz.

W piątek wieczorem nie miałem ochoty nawet wyjść przed dom, postanowiłem unikać Zosi, uznałem, że nie ma sensu się ścigać z Remkiem i jego tricepsem, bicepsem, szmicepsem, kurwa, od początku zresztą wiedziałem, że z tą siłownią to głupi pomysł.

Siedziałem w fotelu, pstrykałem pilotem, w głowie miałem pusto, przed sobą stos papierków po cukierkach.

Nagle usłyszałem suche trzaski z kapsli dochodzące z ulicy, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem kilku mężczyzn, wśród których w środku sterczała głowa konia. Wybiegłem z mieszkania, przeskakując po dwa stopnie. Wejście na parterze zasłane było dymem, wypadłem na zewnątrz, śmierdziało siarką. W oknach pojawili się gapie, Król wyszedł za mną przed dom.

– Dzwonię po policję – odezwał się i zawrócił.

Pan Rysio w głowie konia podskakiwał, unosząc do góry raz jedno, raz drugie kolano, mężczyźni wokół rzucali mu pod

nogi kapsle, popychali między sobą, nie pozwalając mu wydostać się poza krąg. Rysio upadł i zaczął się znów gramolić do pionu.

– Jazda dziadu, tańcz! – wrzasnął czarny z kitką, a mężczyźni unieśli w górę wyprostowane ramiona z dłońmi skierowanymi w dół; zaczęli wycić i maszerować w kółko, zaśmiewając się i zataczając.

Wpadłem między dwóch i roztrąciłem ich na boki, ale wstali błyskawicznie i skoczyli na mnie. Przewróciłem się, dostałem pięścią w twarz, nie wiedziałem, jak się bronić. Zakotłowało się.

Zdołałem się podnieść i rzuciłem się na najbliższego faceta, przygniotłem go swoją masą, ale inny skoczył mi na plecy, zabolalo; strząsnąłem go z siebie, odepchnąłem i wtedy jeden z bandytów odpalił racę. Ognista pałeczka pomknęła nisko i trafiła pana Rysia w koński łeb; pulchny, pomarańczowy dym zakręcił się w koło na tej przeszkodzie, zmienił kierunek i prysnął w bok, zasnuwając chodnik mlekiem.

Usłyszałem z daleka dźwięk syreny, jakaś kobieta krzyczała wysoko, zbiegli się ludzie...

Bandyci rozpierzchli się na wszystkie strony, został jeden, któremu coś chyba zrobiłem, bo leżał i jęczał.

Nurknąłem w dym.

– Panie Rysiu, panie Rysiu...

Pełzłem po na asfalcie i macałem wkoło dłońmi, wreszcie natrafiłem na ludzki kształt.

– Panie Rysiu – pochyliłem się nad nim.

Nagle zrobiło się bardzo cicho, Ktoś położył mi dłoń na ramieniu, ścisnął. Nadjechała karetka. Tupot pospiesznych kroków.

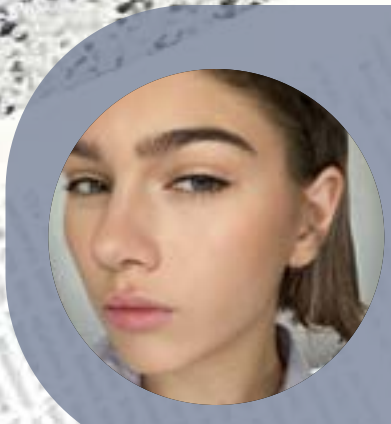
Defibrylator.

Mrok.

Wstałem i na drżących nogach wycofałem się z tłumy... przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Minąłem recepcjonistki z siłowni, które wyszły na zewnątrz wywabione hałasem i stały teraz, zasłaniając usta dłońmi; nie słyszałem, co do mnie mówią. Wszedłem do budynku, schodami na górę i wsiałem na rower stacjonarny. Zaciśnięte pokaleczone dłonie na kierownicy, zacząłem kręcić z całych sił. Docisnąłem hamulec na maksa i uniosłem się w strzemionach pedałów nad siodełko. Przed oczami miałem pienne mleko pomarańczowego dymu, stopioną końską głowę i pana Rysia, który wyszeptał przez gumę: tak to jest Józeczku...

Na mojej skroni nabrzmiała kropla potu, po chwili oderwała się od skóry i poleciała w dół, ciężka jak kamień. Za nią pojawiła się następna i kolejna. Pot ściekał przez kark i po ramionach, spływał między palcami na kierownicę, od której się odrywał i spadał na podłogę. Wzdłuż grzbietu popłynęła wąska strużka; szybko jej przybywało, skapywała już na podłogę z głośnym plaśnięciem. Ciężkie krople zbierały się w kałuże, łączyły w małe akweny, z kałuży wypłynął strumyk; przebrał, zrobił się szerszy, płynął coraz dalej, na schody, w dół przez drzwi wejściowe... potokiem i rzeką, a mnie było coraz mniej i mniej i mniej...



Tomasz Konatkowski
Parada

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Tamtego człowieka już nie ma. Zabili go, nie zdążył uciec. Tego drugiego też już nie ma, no może coś tam jeszcze z niego zostało, połowa, jedna trzecia tego kogoś z poprzedniego wcielenia, zresztą i tak zdążyły się wymienić wszystkie komórki, więc fizycznie był już kimś innym. Ciągłość została zachowana, stąd ta jedna trzecia, w każdym razie nadal był sobą.

R. pamiętał, pamięć jest najważniejsza.

Wtedy, prawie trzydzieści lat temu, obaj byli młodzi, bardzo młodzi, skoro mówimy o ułamkach, to powiedzmy, że każdy z nich stanowił połowę, jedną drugą dorosłego człowieka, a w zasadzie dwóch różnych ludzi, bo przecież nie dałoby się z nich skleić wtedy poważnego faceta. Im się jednak wydawało, że są poważni niezwykle, superpoważni, że świat należy do nich, ten niewielki, nad brzegiem rzeki i w ruinach starej cegielni, i ten duży, który zaczynał się za mostem, za znakiem z nazwą miejscowości przekreśloną czerwoną kreską, na którym każdy z nich zdążył napisać parę wulgarnych słów. Chyba strzelali do niego z wiatrówki, tego nie mógł już sobie przypomnieć.

Tamtego dnia ten drugi człowiek, nazwijmy go Z., czekał na R. przy wielkim kamieniu, w zasadzie to była betonowa podstawa jakiejś maszyny, którą zdemontowano wiele lat temu, ale oni nazywali ją wielkim kamieniem.

– Zobacz – powiedział Z. i pokazał pakunek schowany pod kurtką. Foliowa torba, w torbie coś.

– Co to jest?

– Nie widzisz?

Kot. Martwy kot. Kot sąsiada. Paskudna bestia. Ścierwnik, tak na niego mówili. Na sąsiada, nie kota.

– Zabiłeś go? – spytał R.

– Tak.

– Po co? Po co to zrobiłeś?!

– Nie po co, tylko dlatego. – Z. wzruszył ramionami. – Bo tak. Żeby dopiec Ścierwnikowi. Żeby się do nas nie przypierdała.

R. milczał przez chwilę.

– Ty chuju! – wrzasnął w końcu, zły na kolegę, zły na siebie, że musi to wykrzyczeć, że od tej pory nie będzie już tak jak wcześniej, że stracił przyjaciela i za chwilę będzie musiał się stąd wyprowadzić. Uderzył Z. prosto w twarz, centralnie w nos, a po chwili obaj kotłowali się na błotnistym brzegu.

Z. już się do niego nie odezwał. A minęło jeszcze dziesięć miesięcy, zanim R. wyjechał z miasta. Zdążył za to przekonać Ścierwnika, że to właśnie R. zadusił jego kocura.

No cóż, dopadli go parę lat później. Ludzie tacy jak Ścierwnik, tyle że młodszy i wcale nie chodziło im o kota.

Najgorsze jest czekanie. Na śmierć? Tak, właściwie to na śmierć. Siedzenie, leżenie w takich miejscach, jak to: pustych, bezludnych, chociaż za oknem słychać odgłosy miasta, trochę dziś bardziej spokojnego niż zwykle, jest po prostu nużące. Nudne. Człowiek, który nigdy się nie nudził, nagle musi nudzić się zawodowo, za pieniądze. Spore pieniądze, trzeba przyznać, ale pieniądze nie dają szczęścia. Chociaż... Zobaczmy. Dziś może się wiele zmienić.

Zanim umysł i mięśnie zaczną normalnie działać, przełączając się w tryb maszyny, trzeba chwilę posiedzieć i pomyśleć. A kiedy człowiek myśli, o wszystkim i o niczym, wracają różne obrazy. Można by się czymś zająć, zabić czas – spojrzeć na paczki leżące pod ścianami – ale więcej z tym kłopotu niż przyjemności. Trzeba by potem posprzątać, poza tym nie można sobie pozwolić nawet na chwilę dekoncentracji. Wystarczy wspomnienia. Niby da się nimi sterować, na przykład ci goście, którzy leczą PTSD, mają na to patenty, skleją dobre wspomnienia ze złymi, więc te złe przestają być tak

złe, a dobre nie przestają być dobre. O, można na przykład wspominać kobiety, po kolei, od miasta z cegielnią do dziś, no dobrze, do przedwczoraj. Zwłaszcza jedną kobietę.

Panią K.

Też już jej nie ma. Nie ma, a była, i to jeszcze jak. Zabili ją. Nie zdążyła uciec. Gdyby jej nie zabili, dopadłoby ją to, co siedziało w niej, w środku. Nie żadne nowe życie, tylko coś obcego, nieproszony gość z nieznanym programem, który zmieniał wszystko dookoła, po kolei. Być może zmienił również jego, w końcu dokładnie nie wiadomo, kiedy się pojawił – ona nazywała to coś „panem N.” – i może to pan N. sprawił, że pan R. zamiast troszczyć się o panią K. zainteresował się panią M., popełniając panią Z., czyli Zdradę.

W dniu, w którym rozstali się ostatecznie, wykrzyczała wszystko, co mogłaby mu wykrzykiwać przez następne dziesięć lat albo dziesięć tygodni, w zależności od tego, na ile pozwoliłby pan N.

– Jesteś gorszy niż rak! Hitler, mały Hitler, są miliony takich jak ty!

Zabili ją. Cztery i pół roku później przyszli w nocy do jej mieszkania i zastrzelili. Miała dług. To znaczy: ich zdaniem miała dług.

Tych, co ją zabili, też już nie ma na tym świecie, nawiasem mówiąc.

R. rozejrzał się. Sam wybrał ten budynek, policzył piętra, sprawdził wszystkie wejścia, wyjścia i przejścia. Oraz instalacje. Wiedział, że to magazyn, ale dopiero gdy dziś tu wszedł, zobaczył, co się w nim przechowuje. Książki! Na litość boską, książki! Strasznie zabawne. Nie był znawcą historii, ale co nieco pamiętał. Gdyby wierzył w Boga, uznałby to za znak. Nie wierzył, nigdy nie wierzył, nawet wtedy, dawno temu, w okolicach starej cegielni. Czary, to wszystko czary, tak za-

wsze uważał. Ale spotykał ludzi religijnych, jak najbardziej. Płci obojga. Dobrych i złych. I kompletnych skurwysynów, takich jak tamten człowiek, nazwijmy go Sierżantem, chociaż miał wyższy stopień. Kolejny, następny, który nie żyje. Owszem, też go zabili. Wiadomo: nie zdążył uciec. Ale zanim zginął, narobił sporo złego.

Na przykład pokazał koledze, że nie można być za bardzo świętym. Nie można grozić, że się na kogoś doniesie, bo to świństwo. Tego dnia obaj wiedzieli, że ten facet ma nóż. Diabła tam nóż, całą kolekcję, sztylety, bagnety, kindżały, prawdziwy kolekcjoner, prawdziwy świr. I kiedy już go mieli zatrzymać, kiedy trzymali go na muszce, świr rzucił się na niego z takim narzędziem, ostrzem wygiętym w półksiężyc, właściwie przypominało sierp. Uderzył R. kilka razy, machnął jak kosiarz, jak pracownik zieleni miejskiej, który chce się pozbyć porastającej trawnik nawłoci, a nie ma akurat pod ręką spalinowej kosi. Rozciął policzek, blizna została do dziś, R. ukrywał ją pod modnie przyciętym zarostem. Szalencie machnął ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze, ciach, kolejne rozcięcie, krew na koszuli, krew na rękawie kurtki, krew na podłodze.

Sierżant stał i patrzył. Strzelił dopiero po minucie, która wydawała się całą godziną.

Po wszystkim, kiedy w końcu wypuścili R. ze szpitala, pierwszą osobą, którą spotkał na parkingu, był nie kto inny, jak Sierżant. Powiedział tylko:

– Widzisz, Serpico? Nie warto kozaczyć. Niektórych rzeczy nie zmienisz.

Wtedy R. musiał sprawdzić w pieprzonej Wikipedii, co to za jeden ten Serpico. Strasznie zabawne, jak Boga kocham. Na szczęście – na szczęście? – skurwysyna ktoś odstrzelił pół roku później. Razem ze wszystkimi jego mądrościami i wszystkimi obejrzanymi filmami. A przy okazji z żoną i córką, bo siedziały razem z nim w samochodzie. Czy na to zasłużyły? Bóg je-

den wie. W każdym razie ten, w którego wierzył Sierżant, na pewno wie, bo to jego kumpel.

R. dotknął ucha. Usłyszał szmer, a po chwili głos. Głos, który nie miał swojej twarzy. Może nie tylko dla niego, może w ogóle istniał wyłącznie jako wrażenie dźwiękowe.

– Jadą. Minuta.

Znow szmer, a potem już tylko cisza.

R. machnął łokciem i otworzył szerzej okno. Zajął pozycję i spojrzał przez celownik, jego świat ograniczał się teraz do koła z zaznaczonymi kreskami. Zaraz pojawią się motocykle, a po nich czarna limuzyna. Potem druga. To najpierw z niej wysiądą ludzie, cała ekipa. Rozejrzą się. Może dostrzegą otwarte okno, tyle że jest tu kilkanaście otwartych okien, niebezpieczeństwo zwielokrotnione przestaje być niebezpieczeństwem. Potem z pierwszego samochodu wyjdzie pięć osób, a wśród nich ten człowiek. Będzie miał do przejścia mniej więcej dwieście metrów.

– Mnóstwo czasu – powiedział R. do siebie. – Dam radę.

TRAIDING
VENTA AL POR MAYOR Y DETALLE
价廉物美 批发零售



Łukasz Kosik
Rok jakiegoś końca

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Był to rok zmian rewolucyjnych. Najpierw stary Mocyklarz przestał pić, a dla równowagi pić zaczął młody, chociaż właściwie wzmożył on jedynie działania w tej materii. Był to rok cen benzyny tak niezrozumiałych, że stary Mocyklarz w końcu kupił sobie rower. W ten sposób przechytrzył Bednarskiego, właściciela tutejszej stacji paliw, jego wysoko umocowanych kumpli oraz wszystkich ruskich oligarchów. Był to rok niepoko-
jów, exodusów i szatańskiego daru edukacyjnego Falczaka. Był to rok, którego nikt się nie spodziewał. Co prawda wnosił on kilka istotnych poprawek do życia tutejszych, jednak konstytucji wielu odwiecznych prawd nie naruszał. Może poza jednym wyjątkiem, o którym za chwilę.

Przed szóstą zero zero drogą od Starych Lachów Wybudowane klekotał dostawczak Henryka Wąsa, z zawodu dostawcy. Klekotał z aptekarską dokładnością, ponieważ Henryk Wąs, zanim został dostawcą, chciał być aptekarzem, jak jego ojciec Antoni Wąs. Kapitalistyczny tajfun, który nawiedził tę okolicę jakiś czas temu, pokrzyżował mu jednak plany. Jakoś na życie zarabiać trzeba – wzdychał Henryk Wąs i siadał za kierownicą. Jego pojazd, choć leciwy, służył przynajmniej kilku osobom ze wsi jako precyzyjny zegar obwieszczający początek dnia roboczego.

Dokładnie o szóstej zero zero wczorajszy nieco Magdziak, syn starego Magdziaka i wnuk jeszcze starszego Magdziaka, otwierał swój sklepik, przed którym parkował Wąs, taszcząc kosze z pieczywem, kratki z piwem i co tam jeszcze. Pierwszą klientką w każdy poniedziałek była Babiuchowa, która o godzinie szóstej zero trzy kupowała bułki, mleko i jedną na cały tydzień drożdżówkę. Kiedyś kupowała też piwo dla starego, ale staremu się zmarło, więc pozostała przy bułkach. Taniej wychodzi, choć starego szkoda. Życie. Babiuchowa jednak nie narzeka i marzy, że nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy spotka tam wysoko swojego męża. A gdy go spotka, to mu

powie, że jak umarł, to właściwie niewiele stracił, bo tu zawsze po staremu, tylko coraz drożej.

Wąs ze swoim dostawczakiem był niezbywalnym elementem tutejszego krajobrazu. Kanonicznym niczym kościół, knajpa *Kolorowa* i sklep wielobranżowy *U Wiesia*, którego właścicielem był Wiesław Magdziak, z tych Magdziaków, stąd. Gdyby na jakiś artystyczny plener zjechało tu tysiąc znanych malarzy realistów, to wszyscy namalowałiby kościół, chałupy, drogę na Chlewiki i Wąsa w dostawczaku. Gdyby to jednak byli malarze z gminnego koła artystów patriotów, to wszyscy malowałiby Wąsa w dostawczaku, bijący z wnętrza *Kolorowej* blask niebiański, a także zmierzających do niej księdza Olszewskiego, Papieża i Piłsudskiego. Tak by to najpewniej wyglądało. Wąs, który większość swojego życia spędził w aucie i *Kolorowej*, często opiewał w swoich mowach zalety takiego stylu życia. Nie był jednak ortodoksem i usłyszawszy o odważnym zakupie Mocyklarza, nadstawiał ucha. A Mocyklarz przekonywał, iż mało, co może się równać z rowerem: – Rower to jest wynalazek wielofunkcyjny, proszę ja was. To jest tak pożyteczne stworzenie, że bez roweru praktycznie ani rusz. Ja wam powiem jedno, rower ma tyle zalet, że aż trudno wymieniać. Każdy to powie. Żona moja, dajmy na to, rowerem do roboty zasuwa, dzieciaki do szkoły. Inni też sobie chwalą, na przykład ci od ekologii, co tu byli ostatnio. Rower nie dymi, nie buczy, a jedzie. I to jak! Z górki od Chlewików, a prędkość jak w samochodzie.

Z drugiej strony stołu podrywał się Wąs:

– Ciekawe na przykład, jak ja bym takim rowerem towar dowoził, bardzo ciekawe. Pewnie ci ekologiczni byliby szczęśliwi, ale ja tego jakoś nie widzę. Nie widzę, a zaznaczam, że wzrok u mnie jeszcze nie najgorszy. I druga sprawa jest taka, że jak człowiek chce sobie czasem do *Kolorowej* zajrzeć, a znam takich wielu, i chce sobie w tej *Kolorowej* piwa

się napić, a znam takich bardzo wielu, to po takiej małej przerwie z rowerem trudno jest się dogadać. I niech ci ekologiczni mówią, co chcą, a w takiej sytuacji sami by poszli na nogach. W takich życiowych momentach rower nie zdaje egzaminu.

– E tam – machał ręką Mocyklarz. – Rower jest wynalazkiem niedocenionym, a w obecnych czasach to już w ogóle. I nie ma, że nie działa, a po za tym rowery były zawsze z ludźmi. W każdej epoce były tylko się o tym głośno nie mówi. Z różnych źródeł wiadomo mi jednak, że stoją za tym producenci benzyny z Bednarskim i ruskimi na czele.

Rzecz pozostawała nierozstrzygnięta i każdy swoje zdanie zabrał ze sobą. Tak tu się sprawy miały. Powoli od zachodu ciągnął zmierzch, rozkładając się i moszcząc wygodnie po okolicy. Papierosowy dym niósł się od chałupy do chałupy. Jeszcze ktoś krzyknął, jeszcze psa zawołał i powoli cichło, aż uczciwa noc opadła na wszystko dookoła. A przed szóstą znajomy klekot ogłaszał, że sprawy swój obrót przyjmują na nowo. Oznaki życia powracały, nakręcając niezmordowany w swej sile rytm codzienności. Zresztą okolica pełna była podobnych powtarzalności. Patrząc z pobliskich pagórków – chałupa po prawo, główna kwatera Banclów, specjalistów od tutejszości i trwania. Niechętnie witali oni zmiany w swoim życiu, polegali na sprawdzonych wzorcach. Systemy się zmieniały, historia zataczała koło, a Bancl pod sklepem Magdziaka trwały. Nie było takiej siły, żeby ich stamtąd zabrała. Socjalizm nie dał rady i kapitalizm nie dał. Bez szans. Chałupa na wprost – Zawada. Profesor, a ściślej były profesor, a jeszcze bliżej gdyby podejść, to co on za profesor, dzieciaki go tak nazwały, jak muzyki uczył w pobliskiej szkole. Historia życia Zawady niełatwa i życiowych zakrętów tutaj bez liku. Dużo by gadać.

Miejscowy folklor żył w ludziach i tradycji. Jak dom, to na pokolenia, jak samochód, to taniej się nie da, a jak płot, to krzy-

wy. Jakoś tak zawsze wyszło, a potem nikomu nie chciało się poprawiać. A poza tym, kto tam widział się płotem przejmo-
wać. Widział kto prosty płot? Nikt nie widział, nawet najstar-
szy we wsi Bednarz Józef, który pamiętał świat bez telefonu,
też kręcił głową. Inna sprawa, że młodzi w zdanie Bednarza
Józefa i tak nie wierzyli. Świat bez telefonu nigdy nie istniał.
Różne dziwy chodzą po świecie, ale prostych płotów nie ma.
Jak obejście, to w artystycznym nieładzie, czyli porządnie i po
gospodarsku, choć na ten moment w restrukturyzacji. A jak ma
być w obejściu, jak nie tak? Za ojców tak było, za dziadów
i pradziadów też tak było (może poza Audi). Ryzykownie,
ale można uznać, że za królów Piastów też tak było (może
poza Audi). Ławeczka pod sklepem, psy hauczące swe smut-
ne psie melodie, knajpa, kościół, wesela i pogrzeby. Droga
wydeptana przyzwyczajeniem, sobotnie melancholie i ponie-
działkowe godzenie ze światem. Wszystko płynęło tu swoim
rytmem i sprzęgało się w wielki obraz harmonii i piękna. Stan
taki miejscowi tłumaczyli patriotyzmem i przywiązaniem do
ziemi. A płot, że troszeczkę krzywizny, to od razu wielkie mi-
rzeczy. A czy on na jaką międzynarodową wystawę płotów
stawiany? No raczej nie. Kilka tu chałup też nie na wystawę,
a stoją. I będzie tu jeden czy drugi cmokał pod nosem. Wy-
dawać by się mogło, iż wszystkie prace nad tym krajobrazem
już zakończone, a Bóg może teraz kapkę odpocząć. Widok
tu piękny niczym obrazy starych mistrzów i gładki jak tafla je-
ziora w bezwietrzną noc.

Rzecz byłaby jednak niepełna, gdybyśmy nie wspomnieli
o jednej chałupie pod lasem. Obejście eleganckie, trawka
przystrzyżona, gratów brak. Dookoła niemal prowokacyjne.
Ano właśnie. Patrzcie ludzie na Falczaka. Wyszedł przed cha-
łupę i zapala papierosa. Falczak to jest figura. I co ciekawsze,
figura nieoczywista. Niby kanciasta, a jednak nie aż tak. Niby
palto stare, ale krawat na miejscu. Niby fryzura w niepokoju,

a wąsik równiutki. Idealnie równiutki. Przenikalność cech mocno odległych w osobie Falczaka znalazła pewną przedziwną harmonię i zgodę. To, co nie pasuje u innych, u niego pasuje w dwójnasób. To, co piękne, bełta się w nim z dziadowskim, to, co marne, ze wzniosłym. Wynikiem takich kolizji Falczak nie jest ani wysoki ani niski, ani gruby ani chudy. Niby elegancki, a jednak jakiś wymięty. Niby miły, a jak warknie czasem, to... Dziwota i niewiadota. Towarzyski, a w *Kolorowej* siedzi bez słowa. Owszem, był czas, kiedy Falczak swoje zdanie miał. Potrafił perorować godzinami o tym, dlaczego nie popiera partii rządzącej i czego im życzy. Ale to było w zeszłym roku, a teraz czasy inne niż wszystkie. Z Falczaka powietrze uchodziło powoli, aż w końcu popadł w zadumę i melancholijne frazy. Machnął ręką na sprawy doczesne i zamknął się we własnych przemyśleniach. No, może niezupełnie, bo jak go czasem minister albo prezes jaki ważny wnerwią, to potrafi się słowem odwinąć. Wąsowi, Zawadzie, a i samemu panu Bogu nieraz w pięty poszło. Teraz jednak przyszły dni ponure i Falczak przestał nawet bywać. W *Kolorowej* go mniej, a ostatnio w ogóle. Im bardziej smutniał, tym bardziej czeźł. Im bardziej czeźł, tym bardziej smutniał. Bierz się w garść, tak mówili. Auto kup nowsze, jabłonkę posadź, tak radzili, a Falczak nic. Chodził przygarbiony, gapił się w sufit, dni przestał liczyć. Toasty smutne wznosił i tak ogólnie jakby go mniej z każdym dniem było.

– Ty nam mów jak na spowiedzi – kategorycznie żądał Zawada – o co tobie się rozchodzi.

– Właśnie – drążył tą samą ścieżką Wąs – o co tobie się rozchodzi.

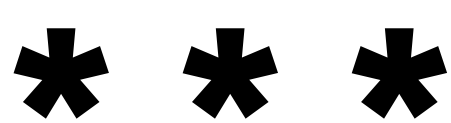
– Co ci się przestało podobać?

– Właśnie, co ci się przestało podobać.

– Mieciu, my do ciebie jak do swojego, jak do brata, ale ty nam chociaż słowo odpowiedz. Daj nam argument jakiś, bo ja wiem.

- Jaki tam argument – machał ręką Falczak.
- Mieciu, ja swoje wiem – mówił Mocyklarz – jak kto nietowarzyski, to od małego taki, a ty przecież od zawsze między ludźmi. Jak ktoś niepijący, no to trudno się mówi, ale u ciebie takie objawy nigdy nie wystąpiły. Odkąd pamiętam, to nigdy. Dobrze mówię, Stasiu?
- Dobrze – potwierdzał Wąs.
- No to co za choroba cię toczy?
- Jaka tam choroba – machał ręką Falczak.
- No, to co?
- Eee.

Falczak chadzał własnymi ścieżkami i był czas, kiedy miał mnóstwo pomysłów na wszystko. Tutejsi do dziś pamiętają, jak którejś wiosny zainstalował we wsi urządzenie do przepowiadania pogody. Niestety burza, która przyszła następnej nocy, zniszczyła je dokumentnie. Falczak zaprojektował też multiotwieracz do piwa, za pomocą którego można było otworzyć dziesięć butelek naraz. Wynalazkiem zainteresowali się Bance, ale prototyp zgubili. Żona Falczaka, Mariana z domu Kamyk, często wyjeżdżała do swojej siostry do Krakowa, co dawało Falczakowi dużo swobody we wdrażaniu swych dziwacznych projektów. W fazie testów pozostawała maszyna latająca, ułatwiająca obsiew oraz urządzenie produkujące kocie żarcie. Urządzenie testować miał Filut, kot Falczaków, choć nie palił się do tej roboty. Filut zresztą też był wariat. A to się wdrapał na drzewo tylko po to, żeby zrobić sobie zdjęcie ze strażakami, a to udawał ptaka, żeby wyostrzyć swój zmysł łowiecki. Ludzie mówili, że to on wymyśla te wszystkie Falczakowe wynalazki. Mogło być w tym sporo prawdy.



Dzień się nie zapowiadał. Niedziela jak niedziela, ma swój niepowtarzalny, oleisty rytm, ma swoje rytuały i swoje prawa. W *Kolorowej* gęsto, dzwony biją na dwunastą.

– Panowie, sprawa jest prosta – zaczął Mocyklarz i bachnął kuflem. – Mietek zwariował. Trzeba ratunku, bo chłop zmaronieje na amen.

– Ale co robić? – pytał Zawada. – Co tu zrobić?

– Bierzemy butelkę i idziemy. Wchodzimy jakby nigdy nic i nie wychodzimy dopóki nie powie, co go gnębi. Nie wychodzimy i koniec.

– Jedna butelka to za mało.

– To się zobaczy.

Poszli. Eleganccy, odświętni, niedzielni. Nie, żeby spytać, co słychać, nie żeby obgadać sprawy. Poszli, żeby się rozmówić, a to jest ranga spraw najwyższych. Mocyklarz, Wąs i Zawada. Wyszli z *Kolorowej*, minęli kościół, sklep wielobranżowy i prosto do chałupy Falczaka.



Był to rok rzeczy ponurych i kolorów w odcieniach szarości. Był to też rok obfitujący w niezapowiedziane zwroty akcji, które nadciągały nad okolice niczym gwałtowne, wiosenne burze. Nagle i bez uzgodnienia z ustalonym rytmem życia. No bo jak inaczej opisać to, co zrobił tej właśnie niedzieli Falczak? Czy w niedzielę w ogóle może zdarzyć się cokolwiek nadzwyczajnego? Otóż może. Kiedy oficjalna delegacja zbliżyła się do chałupy Falczaków, ujrzała taki oto widok. Falczak, paląc papierosa, przybijał coś obok drzwi wejściowych. Kiedy skończył, popatrzył chwilę, zrobił dwa kroki do tyłu, a oczom

zebranych ukazała się niewielka tabliczka z napisem: *Szkoła podstawowa dla psów i kotów imienia Mieczysława Falczaka.*

W milczeniu weszli do środka. Gospodarz wolnym krokiem podszedł do kuchennego stołu, odczekał w ciszy teatralną chwilę i usiadł. Przysunął krzesło do stołu, nadal teatralnie milcząc, i spojrzał przed siebie. Wyglądał, jakby zasiadał do fortepianu, na którym miał zagrać jakiś podniosły koncert. Nie zaczął jednak grać, tylko otworzył sobie piwo. Pił powoli i w końcu spojrzał na pozostałych.

– Panowie, nasz gatunek nie zasługuje już na jakąkolwiek uwagę. Głupota ludzka przestała mnie już dziwić. Jak tak dalej pójdzie, nie czeka nas żadna przyszłość i ja się pod tym nie podpisuję. Porzucam świat ludzi i zamierzam rozmawiać tylko ze zwierzętami. One przynajmniej zasługują na szacunek, a niektóre kwestie rozumieją lepiej niż my. Zwierzęta są lepsze od ludzi.

Ponownie nastała cisza. Mocyklarz nie wiedział, co powiedzieć, Wąs zastanawiał się, co powiedzieć a Zawadę zatkało.

– Ot wymyślił – odezwał się w końcu któryś.

Falczak spojrzał w okno i ciągnął dalej:

– Nie chce mi się gadać z ludźmi, bo ludzie nie słuchają. Zwierzęta zawsze słuchają. Nie chce mi się patrzeć w telewizor i nie chce mi się oglądać tego wszystkiego.

Włączony telewizor stojący obok pokazywał właśnie jakąś defiladę, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

– Mietku, czy tobie z piątą klepką wszystko dobrze?

– Dobrze. Ja po prostu nie rozumiem tego świata, nie rozumiem ludzi. Patrzcie, co się na świecie wyrabia. Po co to wszystko, ja się pytam, po jaką cholere?

– Mietek, jak tobie filozoficzne pytania chodzą po głowie, to nic złego, a światem się nie przejmuj, zawsze był głupi.

– Wiem, że był. Świat ludzi zawsze był głupi. Spróbuj przekonać tego czy tamtego, że ekonomia, że planeta, kto tego słucha?

– I co teraz? Usiądziesz i będziesz uczył Filuta tabliczki mnożenia?

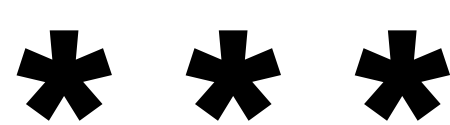
– A czym to się różni od, powiedzmy, koszenia trawnika?

Popołudniowe słońce właśnie zajrzało przez małe, kuchenne okno i padło prosto na śpiącego na sąsiednim parapecie kota. Otworzył na chwilę oko, po czym je zamknął i wrócił do drzemki.

– Dobrze, to może ja Brutusa zapiszę do twojej szkoty – rzucił Wąs. – Od kiedy ruszasz?

– Od następnego tygodnia. Proszę bardzo. W poniedziałki zajęcia z szermierki oraz sztuka barokowa osiemnastego wieku. We wtorki wykład z prawa międzynarodowego, podstawy algebry oraz musztra.

Mocyklarz potarł spocone czoło. Pozostali to samo.



Minęło kilka dni bez większych spraw. Życie toczyło się swoimi koleinami. Wąs klekotał dostawczakiem, Bednarski po raz kolejny podniósł ceny na stacji paliw, a Mocyclarz tryumfował, bo wcześniej założył się z Wąsem, że tak właśnie będzie. W *Kolorowej* rozgorzał spór o to, czy pan Bóg napiłby się tutejszego piwa, czy nie. Falczaka ani widu, ani słychu. Raz ktoś go widział, jak stał przed chałupą i palił, to tyle. Wszystko niby po staremu, chociaż po wsi jakby mniej psów się kręciło. Koty też poznikały. Nawet Bance zauważyli.

– Panowie, idziemy sprawdzić, co u Miecia. Powiem wam, że trochę zaczynam się martwić, czy wszystko u niego dobrze – zapowiedział Mocyclarz, kończąc piwo.

Z daleka wyglądało, jakby nikogo w chałupie Falczaków nie było. Zawada zapukał do drzwi. Nic. Cisza. Dalej nic, i dalej cisza. Zapukał ponownie i wtedy usłyszeli głos dobiegający z wnętrza chaty. Podeszli do uchylonego okna i zajrzeli do środka. Na środku niedużego pokoju siedział Falczak, a przed nim wszystkie okoliczne psy i koty. W pierwszym rzędzie oczywiście Filut, potem Brutus od Wąsów, Ambaras od Zawady i kotka Zosia od Toczaków. Dalej Bella od Telegów, pies o wdzięcznym imieniu Wiosna od Heców i Motek z Polą od Fedorowiczów. Przyszedł nawet Krzyżyk, pies od księdza Olszewskiego. Falczak kończył właśnie wykład o nowym bałaganie światowym i płynnie przechodził do następnych zajęć:

– A teraz moi drodzy przećwiczymy jeszcze raz elementy kroku paradnego. Ustawiamy się w cztery szeregi. Proszę bardzo.

Mocyklarz wiele w życiu widział, a jeszcze więcej słyszał, ale takie coś? Co ludzie powiedzą?

– Panowie, wracamy do *Kolorowej*. Trzeba się naradzić – szepnął do pozostałych.

Wrócili w ciszy.



Tu trzeba było działań nieszablonowych. Tu potrzeba było kroków radykalnych. *Kolorowa* huczała od pomysłów. Podnoszono pytania fundamentalne. Czy tak można? Czy to zgodne z tradycją? Czy po bożemu? Pytania te jednak zawisały w gęstej atmosferze bez konkretnych odpowiedzi. I w momencie, gdy ustalono już, że nie ma zgody na takie rzeczy we wsi, drzwi do *Kolorowej* otworzyły się gwałtownie i oto tłumowi gapiów ukazał się widok co najmniej osobliwy. Do środka

wszedł sprężystym krokiem defiladowym Filut. Zatrzymał się, zasalutował i rozłożył w łapkach małą karteczkę:

– W dniu jutrzejszym odbędzie się wielka defilada. Zapraszamy wszystkich mieszkańców. Po defiladzie wykład profesora Falczaka zatytułowany *Jeszcze głupszy światowy ład*. Na sam koniec przewidziano skromny poczęstunek.

Złożył karteczkę, ponownie zasalutował i tym samym wojskowym krokiem wymaszerował z *Kolorowej*.



Był to rok dziwów i cudowności. Do dziś wszyscy we wsi zarzekają się, że tak właśnie było. Mimo że gdyby rozejrzeć się po okolicy, to zmian wielkich nie zobaczysz. Płoty poetycznie krzywe, Wąs w swoim dostawczaku, Bednarski znów podnosi ceny benzyny. Legenda krąży, pęcznieje i rośnie. Niektórzy mówią, że to nie Filut, tylko Falczak przyszedł wtedy do *Kolorowej*, a szkołę dla zwierząt sam sobie wymyślił. Tak czy tak, większość tutejszych przysięgać może na wszystko, że jednak nie Falczak, tylko Filut, i nic tu nie jest zmyślane. Przyszedł, przeczytał i poszedł. Jak na defiladzie. Był to rok jakiegoś końca i jakiegoś początku. Był to rok, w który nikt nam w przyszłości nie uwierzy.



Katarzyna Latek
Mrówki

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Pomarańczowe maleńkie mrówki ciągnęły szeregiem po nodze od stołu. Tym razem lewej, chociaż ostatnio była to prawa. Podstawiłam im wykałaczkę. Przechodziły nad nią kolejno, a na nodze od stołu tworzyło się małe wybrzuszenie.

– Zostaw to obrzydlistwo – krzyknęła matka.

Mnie mrówki nie wydawały się obrzydliwe. Żyły z nami od kiedy pamiętam. Nic nie robiły sobie z dezynsekcji, szorowania octem i wystawiania misek z wodą na ich stałych trasach. Znajdowały nowe.

– To ten ohydny wieżowiec. Te zsypy przeklęte, to mieszkanie na kupie – mówiła matka.

Mrówki ciągnęły po stole w stronę cukiernicy. Ojciec zostawił ją tam po śniadaniu. Zresztą, gdyby nawet nie zostawił, nic by to nie dało. No chyba, że schowałby cukier do lodówki, co właściwie powinien zrobić. Nie brzydziłam się mrówek, ale cukru nie tykam do dziś.

Wieżowiec mieścił się w sercu stolicy, przy jednej z jej reprezentacyjnych alej. Po obu jej stronach górowało ich kilkanaście.

– Wszyscy mają mrówki, mamó – pocieszałam ją.

– Nie wszyscy, tylko żyjący w tych kołchozach – syczała przez zaciśnięte zęby.

Czyli wszyscy, nie było się co oszukiwać.

– Ciesz się, że mieszkanie mamy – mówił ojciec, kiedy matka próbowała upchnąć zapasy mąki i cukru do małej lodówki. Większa by się nie zmieściła, bo i mieszkanie było maciupeńkie. Tylko bloki były duże.

– Jak są mrówki, to nie ma karaluchów – pocieszała matkę sąsiadka, kiedy wjeżdżały windą na ostatnie, piętnaste piętro.

– Tak mówią – matka wzruszyła ramionami.

– Nie mówią, tylko tak jest. Widziała tu pani karalucha?

– Jeszcze tego brakowało.

– Ja to jedzenie w lufciku trzymam. Do siatki pakuję, gwóźdź

wbiłam we framugę i tam wieszam. Jeszcze nie wlażyły – wyjaśniła sąsiadka.

Matka spojrzała na nią ze zdumieniem, ale wyczułam, że jest zainteresowana. Jej obsesja na punkcie mrówek zaczęła przybierać niebezpieczne formy.

Wieczorem zobaczyłam, jak mrówki maszerują po ścianie w stronę szafki. Podstawiłam im patyk, który specjalnie przyniosłam z parku. Przeszły po nim, jak gdyby nigdy nic, skupione na swoim celu. Były ich dziesiątki, jeśli nie setki. Poruszający się rdzawy sznur.

– Mrówki idą do szafki z makaronem – poinformowałam matkę.

Złapała za rozpylacz z roztworem nafty. Zatkałam nos.

– Józek mówił, że denaturat pomaga – ojciec właśnie zajrzał do kuchni.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

– Próbowalam.

– To może przywiozę ze wsi takiej chemii na stonkę.

Matka odwróciła się gwałtownie i wycelowwała w niego palec lewej ręki. W prawej nadal trzymała rozpylacz z naftą.

– Wracajmy na wieś!

– Oszalałaś?

Spoglądałam na nich na zmianę. Ojciec wyglądał na wstrząśniętego, matka na obłąkaną. Nafta śmierdziała, mrówki nadal maszerowały. Matka wyjęła makaron, stwierdziła z ulgą, że jeszcze nie zdążyły do niego dotrzeć i wepchnęła paczkę do lodówki, w której były już mąka, cukier, kasza pęczak i manna. Mięsa nie było, bo nie dowieźli.

– A mrówki jedzą też ziemniaki? – zainteresowałam się.

– Nie ma to znaczenia, ziemniaków i tak nie można trzymać w lodówce – wyjaśnił ojciec.

– Jadę jutro na wieś po ten preparat na stonkę – postanowiła matka.

– Dziecko weź i tam zostaw na trochę, będziesz tu chemią w domu psikać, to się rozchoruje jeszcze.

Nie lubiłam jeździć na wieś, a już na pewno nie chciałam zostać tam bez matki.

– Nie przeszkadzają mi mrówki, nawet je lubię – zaprote-
stowałam.

Spojrzała na mnie i pierwszy raz poczułam, że nie zawsze mogę być z nią bezpieczna. Wyglądała obco. Była blada, tylko na szyi wystąpiły jej czerwone plamy. Jedna powieka drżała.

Chciałam odzyskać swoją matkę, no i najbardziej na świecie nie chciałam zostać sama na wsi.

Wyprowadzę stąd mrówki – pomyślałam przed zaśnięciem. Zawsze wszystkie idą w jednym kierunku. Musi być jakiś sposób, żeby je do tego przekonać.

Następnego dnia jeździłam na przypiętych do butów wrotkach po długich korytarzach naszego bloku. Na każdym piętrze było kilkadziesiąt mieszkań. Miały numerację jak w hotelu – numer piętra i numer mieszkania.

– Czemu tak hałasujesz, bachorze przeklęty – z drzwi pod numerem 1528 wyłoniła się sąsiadka. Nie ta sama, co w windzie, ale podobna. Było ich tu sporo, starszych pań z rysami trudnymi do odczytania spod zmarszczek. Chociaż może to tylko z perspektywy moich dziewięciu lat wyglądały prawie tak samo.

– Chcę wyprowadzić stąd mrówki – przyznałam się – szukam najlepszej trasy.

Chuda ręka złapała mnie za ramię i pociągnęła w stronę drzwi. Wrotki nie stawiały oporu. Szarpnęło dopiero na progu.

– Do środka – syknęła sąsiadka.

Oszołomiona przekroczyłam próg.

– Zdejmij te kółka – zażądała.

Zdjęłam, zbyt zajęta rozglądaniem się po wnętrzu. Wszyscy w bloku mieliśmy prawie identyczne mieszkania. Ale nie ona. Na ścianach nie było miejsca. Wszędzie wisiały obrazy – portrety, bukiety kwiatów, owoce.

Staruszka przyglądała mi się podejrzliwie.

– Tak naprawdę nie masz żadnego pomysłu, co?

– Jeszcze nie – przyznałam. – Muszę po prostu zacząć myśleć jak mrówka.

Sąsiadka spojrzała na mnie, jakbym sama była mrówką. Ostatnio miałam wrażenie, że wszyscy mnie nienawidzą.

– Moja mama się zmieniła. To przez te mrówki – powiedziałam żałośnie. Samo się wyrwało, nie chciałam się skarżyć, zwłaszcza, że sąsiadka nie wyglądała jak ktoś, kto może mi pomóc.

– Poczęstowałamby cię herbatnikiem, ale są w nich mrówki – powiedziała ponuro.

– A ma je pani także w cukrze?

– Nie mam cukru.

Nie miała cukru! Co za dziwna osoba. Nie znałam do tej pory dorosłej osoby, która nie miałaby cukru. Zaczęłam się niepokoić.

– Muszę wracać. Mama mnie będzie szukać.

– Nie będzie, jeszcze nie wróciła.

– Skąd pani wie?

– Nie słyszałam windy ani trzaśnięcia drzwiami.

Obeszłam dookoła stół przykryty koronkową serwetą. Był inny niż nasz. Miał rzeźbione nogi. Owadom na pewno trudniej było się po nich wspinać. Pod serwetą leżały suszone plasterki cytryny. Wzięłam jeden do ręki. Wyglądał jak małe słońce, ale wypadło z niego kilka martwych mrówek.

– Widzisz? Cytryna miała je odstraszać, a wlażą do niej. Jedyne, co trochę działa, to namoczone pety, ale sama nie mogę znieść tego smrodu. Nienawidzę tych małych, rudych skurwysynów – wycedziła sąsiadka przez zaciśnięte zęby.

Zamurowało mnie. Nigdy nie słyszałam, żeby dorosły człowiek otwarcie wyrażał się tak przy dziecku. Matka zatykała usta dłonią nawet kiedy wyrwała jej się niewinna cholera. To było za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Założyłam buty, a wrotki wzięłam do ręki.

– Do widzenia pani – powiedziałam grzecznie i wyszłam na korytarz.

Z windy akurat wychodziła matka z siatkami. Wzięłam je od niej i zaczęłam wykladać zawartość na mały kuchenny stół. Biały wilgotny ser. Mięso zawinięte w pergamin zabarwiający się na różowo. Kolejna paczka – ciastka. Stojące na tekturowym spodzie, zawinięte razem z nim w papier, zawiązane brązowym sznurkiem. Mrówki rozpoczęły szturm. Byłam zafascynowana. Na blacie poruszające się rdzawe pasmo rozdzielało się na trzy zdyscyplinowane sznury. Maleńkie nóżki przesuwały się w niesłyszalnym rytmie. Miałam ochotę podawać im tempo, raz, dwa, lewa, ale miały za dużo nóg i mogło się to nie sprawdzić.

– Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? – wrzasnęła matka i odruchowo podniosła dłoń do ust.

– Nienawidzisz tych małych, rudych skurwysynów, co? – zapytałam.

– Co powiedziałaś?

Przyjrzałam się jej. Coraz mniej była podobna do mojej mamusi. Oczy prawie wyszły jej na wierzch. Na czole pulsowała dziwna żyła. Te małe diablęta robiły z ludźmi straszne rzeczy.

– Dlaczego nie włożyłaś jedzenia do lodówki?

– Sprawdzam, co im najbardziej smakuje – wyznałam.

Matka zerwała papier z mięsa, opłukała je pod kranem, zawinęła od nowa i wepchnęła do lodówki. To samo zrobiła z serem.

– Ciastka chyba trzeba wyrzucić – powiedziała.

O, nie. Przecięłam sznurek i zajrzałam do środka odwróco-

na do niej plecami.

– Nic się jeszcze nie stało – pocieszyłam ją.

Miałam nadzieję, że nie widzi, jak palcem zmiotam z powierzchni ptysiów kilka owadów. Może jeszcze nie zdążyły się dostać do środka.

– Zrób mi herbaty. Umyj stół. Muszę położyć się na chwilę z nogami w górze – powiedziała i wyszła.

Najwięcej mrówek kłębiło się w miejscu, gdzie z mięsa wydostało się kilka kropel.

– A więc chcecie krwi – powiedziałam do nich. Startam je ze stołu i patrzyłam, jak z wodą znikają w odpływie. Zaniośłam matce herbatę.

– Masz rację, nienawidzę tych małych, rudych skurwysynów – westchnęła i zasnęła, zanim dopiła. Przykryłam ją kocem.

Wieczorem atmosfera była napięta. Matka siedziała skulona w fotelu gapiąc się w telewizor. Nie zrobiła kolacji. Zjedliśmy z ojcem po kanapce z białym serem i poprawiliśmy ciastkiem. Odmówiła jedzenia, przyjęła tylko kolejną herbatę.

– Idź spać – nakazał mi wreszcie ojciec. Wcale nie chciałam się jeszcze kłaść.

– Idź spać – zawtórowała mu matka.

Wstałam, ale zamiast do łazienki, ruszyłam do kuchni. Mrówki zwartym szeregiem kierowały się spod kuchennej szafki wprost pod lodówkę. Ciekawe, czy miały tam mrowisko. Z tego, co o nich wiedziałam, musiały mieć gdzieś matkę. Ze swojego pokoju przyniosłam linijkę i zastawiłam nią szparę pod lodówką. Żywy sznur natychmiast zmienił kierunek i ruszył w lewo, żeby obejść przeszkodę. Wróciłam do pokoju.

– Kto uczy mrówki takiej współpracy? – zapytałam ojca. Obejrzał się nerwowo na matkę. Zapadła się w fotel chyba jeszcze bardziej i zawinęła w koc. Widać było jej tylko oczy.

– One mają taki instynkt, który każe im równo maszerować do celu. Nigdy się nie ścigają. Każda zna swoje miejsce w sze-

regu – odpowiedział szeptem ojciec.

– A te pierwsze skąd wiedzą, dokąd mają iść?

– Chyba na wędch – powiedział niepewnie.

– Idź już spać – rozległo się spod koca. Poszłam.

Kiedy wstałam rano, rodzice byli już na nogach. W ciasnym przedpokoju stała zniszczona kraciasta walizka.

– Jedziemy na wieś? Tylko nie to – jęknęłam.

– Ja jadę – odparła matka.

Beze mnie? To była najdziwniejsza rzecz, jaką usłyszałam w dotychczasowym, co prawda niezbyt jeszcze długim życiu. Dziwniejsza nawet niż dorosły człowiek, który nie ma w domu cukru.

– Nie możesz jechać beze mnie, mammo!

– Może. Zresztą i tak nie chciałaś jechać – powiedział twar-
do ojciec.

– A wrócisz?

Ojciec spojrzał na nią, jakby był tak samo ciekawy odpo-
wiedzi jak ja. Matka udawała, że nie słyszy. Pakowała jakieś
rzeczy do dużej torby. Walizka i torba naraz?

– Mamusiu?

Spojrzała na mnie jak na obcą osobę.

– Mamusiu, ja tak naprawdę nie lubię mrówek, tylko żarto-
wałam. Nie przestałaś mnie kochać, prawda mamusiu?

Nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Chodź, zrobimy sobie śniadanko. Ty też zjesz coś przed
podróżą, kochanie? – zapytał ojciec, ale nie zaszczyciła go
spojrzeniem.

– Ale możemy cię odprowadzić na dworzec, mamusiu?

Westchnęła tylko i poszła do łazienki. Ojciec kroił chleb, ja
smarowałam kromki masłem i dżemem. Wolałabym jajka na
miętko, ale w naszym domu tylko matka wiedziała, kiedy na-
leży je wyjąć, żeby były idealne. Mrówki już zmierzały w stro-
nę talerza, raz, dwa, sześć, lewa. Trzepnęłam je ścierką. Jesz-

cze mnie popamiętacie, wy...

– Małe, rude skurwysyny! Żrą pastę do zębów! – ryknęła mama wybiegając z łazienki. Potknęła się o wrotki, ale na szczęście jej prawa noga nie odjechała daleko, bo ściana przedpokoju była zbyt blisko. To jej jednak wcale nie uspokoiło. Łzy rozmazały jej tusz do rzęs. Nie zdążyła wysuszyć włosów. Złapała walizkę i torbę. Wyszła na korytarz. Nawet mnie nie uścisnęła. Ojciec rzucił się za nią.

– Złapię ci chociaż taksówkę, kochanie – powiedział pokornie.

Stałam w otwartych drzwiach mieszkania i bałam się na nich spojrzeć. Patrzyłam pod nogi. Po posadzce korytarza w stronę stojącej przed drzwiami windy walizki defilowały mrówki. Pewnie w stronę tego kawałka mięsa, który ukryłam w bocznej kieszeni walizki. Chciałam, żeby przeprowadziły się na wieś, ale wszystkie pewnie nie zdążą do windy.

Wróciłam do mieszkania.

– Ja też wam odbiorę matkę – powiedziałam do nich, szukając zapalek. Gdzieś tu jeszcze był rozpylacz z naftą.



Maraszek Marek
Podczas gdy Ernest
Nemeczek podziwia
Feriego Acza, stojący na
szczycie wzgórza Feri Acz
prosi Ernesta Nemeczka,
by ten się nie bał

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

A

Wszechświat to kulki z chleba, które rozkładam na stole. Pośrodku masywne Słońce, z największego kawałka chleba. Merkury, drobny, prawie jak przypadkowy okruch. Gładka od obracania w palcach Wenus. Potem Ziemia i planety, które recytuje się szybko, połykając końcówki.

Na krawędzi stołu spoczywa Pluton, który za dwa miesiące przestanie być planetą Układu Słonecznego, o czym zdecydują astronomowie zebrani w Pradze. Tym, co koniecznie chcą zakończyć, jest zamieszanie wywołane odkryciem Eris, która – jak dowiedziałem się z telewizji – stanowi obiekt transneptunowy, wydaje się, że piękny, o kojąco szarej powierzchni. Wyliczono, że Eris posiada masę większą od Plutona, a skoro tak, powinno się ją uznać za kolejną planetę Układu. Jak wszyscy, uczeni wolą jednak liczyć planety do pewnego rozsądnego momentu, zastanawiają się więc teraz, ile takich planet pomieści układ, który można rozkładać na stole pod postacią kulek z chleba.

Zanim astronomowie zbiorą się w Pradze, wierzę, że podręczniki mówią o rzeczach niezmiennych. Zabieram je ze sobą wszędzie, nawet na wakacyjne wyjazdy, wiedząc, że od czytania w samochodzie czuję nudności. Rodzice wzdychają ciężko, gdy musimy robić przerwy, myślą, że robię im na złość. Klęczę na poboczu i wyobrażam sobie, że wypełniam brzuch nabieranymi haustami powietrza, aż staję się zupełnie lekki i nie mam ciała, i opuszczają mnie torsje. Tata jest zniecierpliwiony, strzela palcami. Z tym kojarzę walkę o oddech, z rytmicznym szczękaniem stawów, które woła mnie z otwartego samochodu.

Potem wracam na tylne siedzenie, zamykam oczy i myślę o przyszłości, takiej, do której prowadzą nitki niemożliwych do odrzucenia wnioskowań. W tej przyszłości gasną kolejno

gwiazdy i w całym kosmosie nie ma już nikogo, co niepokoi mamę – wiem to, bo przerywa mi zawsze, gdy tylko próbuję o tym opowiedzieć – a jej niepokój wywołuje u mnie kolejny skurcz żołądka.

Myślę o wyjazdach teraz, pod koniec czerwca, gdy siedzę przy stole i układam kulki z chleba. Robię to starannie, nawet przy planetach, które recytuje się szybko, połykając końcówki. Merkury, Wenus. Ziemia, Mars. Jowisatururaneptupluto.

Co tydzień, w czwartkowy wieczór, zasiadam z rodzicami przed telewizorem i wpatrujemy się zgodnie w obraz maszyny losującej, która hipnotycznie spluwa w górę kolorowymi piłeczkami. Tata strzela palcami, gdy oszalałe punkciki wirują pod kopułą łapczywych, przezroczystych tub, przypominających piszczałki kościelnych organów. Za chwilę piłeczki stworzą ciąg liczb, który powie rodzicom, czy stać ich na rozpoczęcie nowego życia.

Czasem przed zaśnięciem rozmyślam nad tym, czy można rozpoznać jakąś prawidłowość w wystrzeliwanych co tydzień wynikach, czy gdybym pewnego dnia usiadł przy stole i zaczął recytować ciąg liczb, jak recytuję kolejność planet, i wymieniałbym wszystkie możliwości, to w której minucie, godzinie czy którego dnia wypowiedziałbym prawidłowy wynik, stanowiący bilet do nowego mieszkania.

Co tydzień rodzice wpatrują się w piłeczki maszyny losującej i wierzą, że będzie ich stać na własny dom, i nie będą już dłużej mijać się w przedpokoju z osobą, o której nie lubi się mówić, a której na pewno ja sam nie powinienem nazywać dziadkiem, ponieważ jest mi to zabronione. Rozumiem to tak, że każdy dom posiada swoje określone napięcie, niewidoczne dla ludzi spoza tego domu. Mój wyróżnia się tym, że nie można nazywać dziadka dziadkiem. I nie wolno nucić, ponieważ nucenie to coś, co robi dziadek.

B

Zwykle nie lubię być u siebie, dlatego często chodzę do Feriego. Feri mieszka w bloku, w mieszkaniu znajdującym się nad sklepem z drukarkami, a z okien jego pokoju można obserwować podwórko: szereg aut, potem wybetonowana przestrzeń, służąca najczęściej za boisko, trzepak, który czasem robi za bramkę, czasem za zabawę samą w sobie. Dalej drzewo, wiosną i latem zasłaniające garaże, z pniem kłaniającym się wszystkim tak nisko, że wchodzą na nie i przedszkolaki.

Po najmocniejszej gałęzi można wejść na blaszany dach garaży, zrobić parę kroków, zeskoczyć i tym sposobem odkryć Hades, prostokąt ziemi między tylną ścianą budynków a ceglany murem. W Hadesie jest mnóstwo krzaków do tworzenia baz, wieża z płyt chodnikowych, stanowiąca pomoc w powrotnej wspinaczce na dach, a przede wszystkim skromne pole trawy, pozwalające leżeć i patrzeć w niebo.

Jutro, w ostatni dzień szkoły, wystąpię w szkolnym przedstawieniu i będę grać Ernesta Nemeczka, ale teraz jeszcze siedzę przy stole, zgarniam jednym ruchem kulki z chleba, zaczynam układać je od nowa.

O tym, że jestem Ernestem, a Feri – Ferim, zdecydowała nauczycielka. Nie chciałem postaci Nemeczka, ponieważ wiedziałem, że przesądziła o tym moim posturą. Skoro jednak rodzice ucieszyli się z roli, którą nazwali główną, ostatecznie zgodziłem się zagrać Ernesta. Zacząłem przychodzić dwa razy w tygodniu na próby w sali gimnastycznej, ze względu na to, że bycie chłopcem z Placu Broni wymagało wielu ćwiczeń.

A teraz defiluj, wołała do mnie nauczycielka, podnoś nogi najwyżej, mocno, jak tylko potrafisz, ale nie potrafiłem unieść ich wyżej i czułem upokorzenie wynikające z tego, że jestem Ernestem Nemeczkiem.

Gdy wychodziliśmy z budynku szkoły, zapomniałem się przez chwilę, zanuciłem melodię, która chodziła mi po głowie, i zdrętwiałem, gdy tylko zrozumiałem, co właśnie zrobiłem, jakbym zaraz miał odczuć na sobie spojrzenie taty.

Feri jedynie podchwycił melodię. Chodź, powiedział chwilę potem, przećwiczmy scenę ostatni raz.

Zeskoczyliśmy do Hadesu i poprosił mnie, żebym defilował z całym zapałem, jakbym miał już stać jutro na sali gimnastycznej. Usiadł na płytach chodnikowych i patrzył, a ja maszerowałem, próbując przy tym nie stracić nic z energicznego tempa, choć wcale nie jest to łatwe w miejscu, jakim jest Hades, i wydawało mi się, że co chwilę ranię sobie nogi, gdy tak raz za razem wyrzucałem lewą, prawą, lewą.

Wszechświat to kulki z chleba, które rozkładam na stole. Pośrodku masywne Słońce, z największego kawałka. Merkury, drobny, prawie jak przypadkowy okruch. Gładka od obracania w palcach Wenus. Potem Ziemia i planety, które recytuje się szybko, połykając końcówki.

Na krawędzi stołu spoczywa Pluton, który za dwa miesiące przestanie być planetą Układu Słonecznego, o czym zdecydują astronomowie zebrani w Pradze. Wierzę jeszcze, że podręczniki mówią o rzeczach niezmiennych, przyszłości, do której prowadzą nitki niemożliwych do odrzucenia wnioskowań.

W odróżnieniu od czwartkowego programu z jego przypadkową feerią końcowych liczb, wnioskowania, gdy tylko je wygłosić, ukazują się natychmiast w zachwycającej oczywistości. Na przykład: jeśli ktoś w Hadesie usiądzie na płytach chodnikowych, tych, dzięki którym można z powrotem wspiąć się na dach, odetnie drugiej osobie jedyną drogę ucieczki.

Feri patrzył, jak energicznie wyrzucałem lewą, prawą, lewą, patrzył i czekał. Merkury, Wenus. Ziemia, Mars. Jowisatururaneptupluto.

C

W ostatni dzień szkoły wystąpię w szkolnym przedstawieniu i będę grać Ernesta Nemeczka. Jak na wielu próbach przedtem, wyjdę na spotkanie Feriego Acza, teraz jeszcze schowanego za parawanem, o czym będę wiedzieć ja, ale o czym nie będą jeszcze wiedzieć widzowie. Dopiero gdy wejdę prawie na sam szczyt prowizorycznego wzgórza, Feri Acz ukaze się wszystkim obecnym. Nie bój się, Erneście Nemeczku, powie głośno, a jego słowa dotrą do ostatniego rzędu, gdzie siedzą rodzice, moi, jego, pozostali.

Gdy wyjdę z sali gimnastycznej, rozpoznam coraz więcej ze świata: zapach niedawno mytej podłogi, zielony kolor ścian, długość szkolnego korytarza. Minę kolejne miejsca i nazwę je w głowie, przejdę więc koło sali biologicznej, chemicznej, matematycznej, skręcę obok gabinetu pedagoga, wejdę do toalety. To jest umywalka, a ta rzecz nad nią to lustro, a w tym lustrze przyjrzy się sobie Ernest Nemeczek, który w zimnym świetle halogenów będzie się wydawał mieć prawie przezroczystą skórę. To peryferia mojego układu, i to z nich zaobserwuję najwięcej.

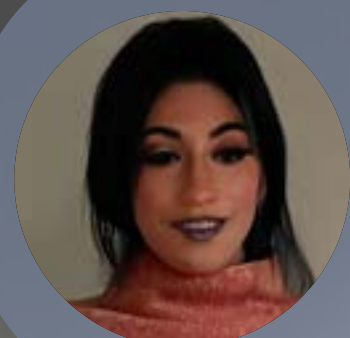
D

Jeszcze wierzę w podręczniki, ale za dwa miesiące Pluton przestanie być uznawany za planetę. Pluton to obiekt niezdolny do tego, by osiągnąć dominację w przestrzeni wokół swojej orbity, a to stanowi trzeci warunek, by ogłosić go planetą. Jego grawitacja jest niewystarczająca – jak tłumaczy rzeczowym tonem pan z telewizji – by oczyścić własne otoczenie z innych obiektów, co stanowi wyjątkowo niewdzięczne zadanie w tak zatłoczonym miejscu układu, jak rozciągający się za Neptunem pas Kuipera. (Telewizja emituje grafikę).

W dniu, w którym los Plutona zostaje przypieczętowany,

a podręczniki przepisane na nowo, musimy robić przerwy i rodzice myślą, że robię im na złość. Klęczę na poboczu i wyobrażam sobie, że wypełniam brzuch nabieranymi haustami powietrza, aż staję się zupełnie lekki i nie mam ciała, i opuszczają mnie torsje. Tata jest zniecierpliwiony, strzela palcami. Z tym kojarzę walkę o oddech, z rytmicznym szczękaniem stawów, które woła mnie z otwartego samochodu.

Potem wracam na tylne siedzenie, zamykam oczy i myślę o przyszłości, takiej, do której prowadzą nitki niemożliwych do odrzucenia wnioskowań. W tej przyszłości gasną kolejno gwiazdy i w całym kosmosie nie ma już nikogo, co niepokoi mamę – wiem to, bo przerywa mi zawsze, gdy tylko próbuję o tym opowiedzieć.



Patryk Toboła
Pogrzeb

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Pogrzeb nauczycielki zwanej *starą kurwą* to było spore wydarzenie. A mogłoby się zdawać, że nikt nie będzie chciał uczcić jej pamięci. Uczniowie? Przecież to właśnie oni wymyślili chwytną ksywę i paląc fajki w kiblu na parterze, zanim jeszcze polonistka umarła, mówili, że mogłaby zdechnąć *ta stara kurwa*. Trochę później popularny stał się żart – *kto był bardziej złośliwy, polonistka czy nowotwór?* I śmiali się z niego nawet inni nauczyciele, z którymi dzieliła pokój nauczycielski, zawsze zakopcony, bo wtedy jeszcze można było w szkołach palić, palili więc uczniowie w kiblu, a nauczyciele w pokoju nauczycielskim i padały tam słowa, które nam ciężko byłoby sobie wyobrazić. Podobnie ciężko sobie wyobrazić piękną dziewczynę robiącą kupę i rodziców uprawiających seks, ale w którymś momencie staje się dla człowieka jasne, że rodzice uprawiają seks, piękne dziewczyny robią kupę, a nauczyciele wyzywali swoją koleżankę od *starej kurwy*. To mamy ustalone.

Rzecz druga, czyli mój związek z polonistką. Posadziła mnie w pierwszej ławce z takim drugim gadułą. Miał na imię Adaś i dwie konsole do gier, *xboxa i playstation 2*, to znaczy dysponował na tamten czas majątkiem niewyobrażalnym, jakby w jednym momencie mieć miłość Penelope Cruz i Salmy Hayek, jakby mieć w drużynie Cristiano Ronaldo i Leo Messiego, psa i kota, *mamę i tatę*, powiedziałyby co najmniej kilku moich kumpli, których starzy mieszkali osobno, ale nie ja, bo moi starzy nie mieszkali osobno, a tata mówił o mamie tak samo, jak my o polonistce.

Nie wiem, jak teraz, ale wtedy o grach się rozmawiało dużo więcej, niż się w nie grało. Z Adasia zaś był niekiepski narrator. Całą fabułę Final Fantasy X podzieliliśmy na ileś tam rozdziałów, co przerwę rozpoczynając kolejny. Wtedy to z chaosu i zgiełku korytarza, pośród krzyków: *raz, dwa, trzy za siebie!* albo *twoja stara sra do gara!*, rodziły się obrazy

baśniowe, wysokie do nieba mury miast warownych i górskie doliny, miecze i potwory, aż zupełnie zniechęciłem ojca, bo mi powiedział, że na konsolę nie mam co liczyć.

Są i takie dzieci, że wchodzą na lekcje i cicho są, ale myśm z Adasiem do tego plemienia nigdy nie należeli. Nie wiem, czy faktycznie, jak mówili niektórzy nauczyciele, bym się udu- sił, gdybym nie gadał, staremu na przykład ręka nie uschła, choć mama mówiła, że mu uschnie za to, co z nami wyczy- niał, z kolei polonistka przed tym, co zrobiła, a co zrobiła, zaraz opowie, zarzekała się, że *prędzej jej kaktus na ręce wyrośnie*, niż dostanę z polskiego dobrą ocenę, a żaden ni- gdy nie wyrósł. No chyba, że już w grobie, jak ponoć rosną paznokcie.

W każdym razie zwróciwszy nam uwagę po wielokroć, bo- śmy nie mogli niedokończonego wątku z Adasiem zostawić, w końcu nie wytrzymała i cisnęła w nas dziennikiem. Pech chciał, że trafił mnie samym kantem w czoło, z którego po chwili buchnęła krew. W klasie zapanowała cisza. Chyba jeszcze za bardzo nie klejąc, co zrobiła, wysłała mnie do higienistki, wy- bita z równowagi polonistka. Higienistka spytała, co się stało, a ja wzruszyłem ramionami. Nie puściłem pary z ust, przywo- łując z pamięci osiedlowe hasło – *konfidenci w dupę rżnięci*, a ona nie dopytywała, i tak miała dużo na głowie. Przycho- dzili do niej uczniowie ze złamanymi nosami, wybitymi zęba- mi, a nawet z ciężką przyszła jedna dziewczyna. Okazało się, że ojcem jest chłopak z trzeciej gimnazjum. Ona chodziła do pierwszej. Na korytarzach szybko rozeszła się plotka, że ro- bili to w krzakach nad rzeką, dziewczyna leżała na plecach, a chłopak na niej, i ma je teraz poszarpane, to znaczy plecy dziewczyna, jak plecy Jezusa w filmie *Pasja Mela* Gibsona, akurat leciał wtedy w kinach i nas zabrała, pani katechetka.

Chociaż zachowałem się honorowo, sprawa i tak została rozdmuchana na godzinie wychowawczej przez przewod-

niczącą klasy, tuż za nią ruszyła reszta, kto tylko miał jakiś zatarg z polonistką i chciał jej dowalić, czyli prawie wszyscy uczniowie, a tym bardziej ich starzy. Co miesiąc wysłuchiwali, jakich to głąbów chowają pod dachem i nagle dostali szansę rewanzu. Chcieli, by sprawiedliwości stało się zadość i świat w końcu przyznał, że ich dzieci wcale nie są takie głupie, jak mówią, że nie skończą tak źle, jak mówią, że coś z nich jeszcze będzie, bo poza tymi dziećmi nie miały nic, matki bez mężów, wychowujące gnojków bez ojców, na podwórkach bez trawy, w piaskownicach bez piasku, boiskach bez bramek, windach bez przycisków, klatkach bez światła, co przypominało spacer po linie, tylko że bez końca i nikt nie zamierzał bić im brawa.

Skutkiem tej zawieruchy odbyłem kilka spotkań w gabinecie dyrektora, uczestniczył w nich właśnie dyrektor, co się nigdy nie uśmiechał i nosił marynarkę z łatami na łokciach, wychowawczyni i polonistka, a także moja styrana, wiecznie zapracowana mama, która mimo młodego wieku miała już sporo zmarszczek wokół oczu i poszarzałą skórę. Sama nie wiedziała, czy ma o coś walczyć, czy uznać atak na dziecko za ledwie incydent. Za jej czasów bito dzieci linijką po rękach i kazano klęczeć na grochu w kącie sali, tak mi mówiła, by nagle zwątpić, że może to nie za jej czasów, tylko za czasów jej rodziców, w każdym razie nie była pewna, co nauczycielowi wolno, a czego nie.

Pamiętam, że chodziłem wtedy po korytarzach wyprostowany, choć zwykle chodziłem zgarbiony, wstydząc się swoich męskich piersi. Uwielbiałem bułki słodkie ze szkolnego sklepu, lodowe pałeczki, a także pączki z nadzieniem różanym i chrupki Flipsy o smaku czekoladowym. Mama mówiła: *ganasz dużo za piłką, to nie zgrubniesz*, ja jednak cały czas grubłem i chodziłem zgarbiony. Do czasu incydentu z dziennikiem, po którym trzymałem się prosto. Byłem teraz sławny jak

Harry Potter w szkole Magii i Czarodziejstwa Hogwart. Na korytarzach zaczepiały mnie przypadkowe osoby, spragnione z pierwszej ręki usłyszeć opowieść chłopca, który przeżył atak niezrównoważonej polonistki, a ja nie odmawiałem im tej przyjemności i nawet sam w końcu uwierzyłem, że rzuciłem się przed Adasia i własnym ciałem ochroniłem od śmiercionośnego zaklęcia. Wkrótce też odniosłem swój największy szkolny sukces. Zwyciężyłem w konkursie szybkiego czytania, w finale w cuglach pokonując faworytę bukmacherów, kujonicę z 2A, która przez całe gimnazjum nie schodziła poniżej średniej 5.9. Polonistka osobiście mierzyła nam czas i po chwili konsternacji oświadczyła suchym głosem, że wygrałem. Na oczach całej klasy ucałowała mnie w rumiany policzek i wstawiła do dziennika ocenę celującą, a potem przez resztę lekcji patrzyła w ścianę, drapiąc się podłoni, może w miejscu, gdzie miał wyrosnąć ten kaktus. W nagrodę mama zabrała mnie do jedynej w mieście pizzerii, gdzie zamówiłem calzone z serem i salami, moja ulubioną.

Niestety, mają rację ci, co mówią, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wcale niedługo po tym pełnym radości okresie polonistka zmarła na raka płuc. Z Harry'ego Pottera znów stałem się Dudleyem, jego grubym kuzynem, co to nie miał w sobie krzty magii. Ale i tak skończyłem lepiej niż polonistka, która nie żyła i której nikt nie miał zamiaru opłakiwać. W szkolnych kiblach, gdzie tą późną, jesienną porą było zawsze zimno, bo się je wietrzyło, żeby nie śmierdziały papierochami, trwała ciągła agitka, namawiano do zbojkotowania pogrzebu. Tylko że kadra nauczycielska zawsze wyprzedza swe ofiary o jeden krok. Na godzinie wychowawczej zakomunikowano nam, że uczniowie, zamierzający towarzyszyć nauczycielce w jej ostatniej drodze, zostaną tego dnia zwolnieni z zajęć.

Można sobie wyobrazić, frekwencja dopisała pięknie. Kaplicę głównego cmentarza naszego miasta wypełniły po

brzezi tłumy fałszywych żałobników. Najgłośniej zaś płakały te dziewczyny, których nawet nie uczyła, polonistka zwana *starą kurwą*. One też zajmowały miejsca w pierwszym szeregu przed trumną, ustawioną w samym centrum kaplicy i okrytą czarnym kirem. Welon w takim kolorze, sukienkę, płaszcz i buty w takim samym kolorze miała na sobie ubrana cała na czarno córka polonistki, zarazem historyczka z naszego gimnazjum, którą dla odmiany lubili wszyscy, i ja także. Myśmy stali, a historyczka siedziała, na wyciągnięciu ręki od matki złożonej w drewnianym sarkofagu, obok niej, także na krzesłach składanych, siedzieli mąż historyczki i ich dwie małe córki. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz się zastanawiam, czy mąż historyczki lubił teściową, i podobnie jak w przypadku zadanego wcześniej pytania, dochodzę do wniosku, że musiał jej nienawidzić, gdy mu przy każdym rodzinnym spotkaniu zwracała uwagę, że *mówi się wziąć, nie wziąć*. Stąd nie dziwi brak łez u męża, za to jego żona szybko się rozmasała i zanim jeszcze gruby ksiądz we fioletowym ornacie rozpoczął mszę, wyglądała jak szop pracz.

Niech się zmiłuje nad nami Bóg wszechmogący i odpuściwszy nam grzechy doprowadzi nas do życia wiecznego. Zwykle w tym miejscu traciłem kontakt z bazą. Liturgiczny polski, choćby prostszy niż łacina, to nigdy nie był nigdy mój polski, że się tak wyrażę, już bardziej polski był dla mnie słowacki, a nawet węgierski czy fiński. Miałem wielki problem z koncentracją i w kościele na osiedlu, gdzie czasem chodziłem z mamą, na przykład z koszyczkiem poświęcić jajka albo podczas przygotowań do Komunii, zawsze zajmowałem miejsce za filarem, gdzie mogłem siedzieć, jak inni stali, i skąd widziałem stary kurant stojący obok drzwi do zakrystii. W kaplicy głównego cmentarza nie było zegara, było ciemno i zimno, witraże dzwoniły od uderzeń wiatru, *cały w tobie*,

totus tuus mówił Jezus na jednym z nich, za moimi plecami zaś mówił Adaś, coś zupełnie innego.

Pech chciał, że i ja stałem w pierwszym szeregu. Choć gdybym nie stał, nie byłoby pewnie tego pecha, bo głupawka ma to do siebie, że się człowiek śmieje, jak nie może, a w drugim szeregu mógłbym się śmiać, jak śmiał się Adaś. Chodziło o organistę na balkonie. Miał wodniste oczka wiejskiego kmiota, włosy rzadkie a płowe, stojące na czubku głowy i odstające nad uszami, jak u wiejskiego kmiota, brudne porcięta i fufajkę, jak u wiejskiego kmiota, a mówię tak nie dlatego, żebym miał coś do ludzi ze wsi, babka moja jest ze wsi, dziadek ze wsi, cała rodzina ze wsi, mówię tak, żeby zobrazować. Adaś mi go wskazał i zaczął nakręcać spiralę groteski, bo z jednej strony lament, z drugiej wyptosz na balkonie, co się zaraz okazało – śpiewający prawie falsetem. I nikt inny się nie śmieje, to też ważne, bo wtedy właśnie człowieka chce rozerwać, a Adaś to wszystko wie, i że mnie dzieli tyle od historyczki, co historyczkę od sztywnej polonistki, i że jestem na widoku, i dawaj, co by nie powiedział, wszystko bawi mnie do łez.

Podłoga w kaplicy była z takich dużych, kwadratowych płyt i w żłobieniach między nimi próbowałem odnaleźć spokój i ratunek. Miałem w pamięci karę, jaka niedawno spotkała chłopaka, który się wygłupiał na wycieczce w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. Przewodnik musiał w końcu przerwać, a było to w sali tortur, gdzie pakowali ludzi do takich malutkich cel, że nie można było w nich nawet usiąść. Baba od angola chwyciła tego chłopaka za rękę i go stamtąd wyprowadziła, kobieta wielka, ospowata i z małą głową. Z przedmiotów przypominała dzwon, a ze zwierząt gaura indyjskiego. To taki bawół z długimi włosami, ona też zawsze nosiła brązowe i falujące kiecki do samej ziemi, a na nosie okulary jak Karl Gebhardt, który osobiście przeprowadzał w Auschwitz eksperymenty na więźniach, zazwyczaj kończące się

tragicznie. Nie mówię tego, by uwypuklić mnogość powiązań łączących szkołę powszechną z obozem koncentracyjnym, łatwych analogi łączących uczniów z osadzonymi w tychże obozach i jeszcze łatwiejszych łączących nauczycieli z krwiożerczymi esesmanami. Mówię tylko, że widziałem dławiący strach w oczach chuligana, a w podwójnych oczach nauczycielki od angola coś nieubłaganego, gdy prowadziła go do drzwi, za nimi był długi korytarz bez okien, a jeszcze dalej kolejne drzwi i podwórko ze ścianą śmierci, gdzie taką samą jesienią, ale roku 44, rozstrzelano więźniów po buncie Sonderkommando.

Nie chciałem, by mnie też spotkała taka kara i sam nie wiem, czy bardziej się wtedy bałem, czy jednak cieszyłem, bo jest coś takiego w głupawce, że człowiek czuje się wyzwolony ponad prawa ludzkie i boskie, choćby wiedział, że dużo go będzie kosztować ta chwila słabości. Pewnie właśnie dlatego co rusz zerkałem na balkon, gdzie przy organach siedział wyptosz, jednocześnie przepraszając w myślach Pana Jezusa, którego nogi na witrażu oplatała wstęga z napisem *totus tuus*, cały w tobie, *Boże, Boże, wybacz mi*, mówiłem, bo jeszcze wierzyłem w Pana Boga, mimo że nie lubiłem kościołów. Dopiero rok później przeczytałem książkę *Kod Leonarda da Vinci* i przy stole wigilijnym oświadczyłem zdumionej babci, że jestem agnostykiem, ale nawet wtedy nie przestałem się do niego zwracać, niech oni w końcu przestaną, prosiłem, słysząc krzyki dobiegające z dużego pokoju. Niestety, starzy, podobnie jak Jezus, mieli mnie w nosie i wojowali czasem do białego rana. Myślałem o córkach historyczki, wnuczkach polonistki, które chyba jeszcze za bardzo nie wiedziały, co to śmierć, i co poczułbym na ich miejscu, *Boże, przepraszam za moje zachowanie, nie zabijaj babci, tak bardzo ją kocham* – myślałem, bo faktycznie bardziej kochałem babcię niż kogokolwiek, gdybym miał wybierać, kto pierwszy z rodziny umrze,

najpierw wybrałbym tatę, potem dziadka, potem mamę i dopiero na końcu babcię, ale ja bym chciał umrzeć przed babcią, myślałem zawsze, żeby nie musieć żyć, kiedy babci już nie będzie. Było dla mnie istną torturą nawet w myślach powiedzieć, *kiedy babci nie będzie*, babcia będzie żyła długo i szczęśliwie, a ja razem z nią, i myślałem, jakim smutkiem napęłniłaby ją moja postawa w tak zwanym bożym domu, kto tam mieszka, babciu, synciu, *tam mieszka Pan Bóg*, mówiła mi, jak byłem dzieckiem, chodziliśmy wtedy razem na mszę co niedzielę, a w drodze powrotnej siadaliśmy na ławce w sadzie, było to na wsi i w wakacje, między gałęziami uginającymi się pod ciężarem wciąż zielonych jabłek było widać tory kolejowe poniżej skarpy, a gdy nadjechał punktualnie o pierwszej, *pociąg z Rosyji*, jak mówiła babcia, bo jechał od granicy z Ukrainą, liczyliśmy wagony pełne węgla, które z wielkim trudem ciągnęła pod górę lokomotywa zielona jak jabłko.

Moim ulubionym momentem, obok prawie radosnego zaśpiewu *święty, święty, święty, Pan Bóg zastępu*, było przekazywanie znaku pokoju. Nie żebym tak dobrze wszystkim życzył, ale w twarzach nagle rozprężonych widziało się ulgę, że koniec jest tuż, tuż, i jakby oprzytomnienie, że istnieje za grubymi murami świat mniej ponury, do którego zaraz wrócimy. W tym to ekscytującym zniecierpliwieniu wszyscy się solidaryzowali. Na pogrzebie polonistki słusznie bałem się podnieść wzrok, bo zrazu napotkałem spojrzenie historyczki, potem stojącej prawie naprzeciw mnie przewodniczącej szkoły, a obie były dalekie od przekazania pokoju, jakby wiedziały wszystko o rodowodzie też na moich policzkach. Bardzo nie chciałem, by szczególnie ta pierwsza źle o mnie myślała, zawsze lubiłem historię, potrafiłem wymienić wszystkich Piastów i nawet Jagiellonów, co zademonstrowałem zaraz po rozpoczęciu nauki w pierwszej gimnazjum, i potem już niewiele

musiałem robić do końca roku. Ale po incydencie z dziennikiem sytuacja uległa zmianie, może dlatego, że wszyscy zaatakowali mamę historyczki, więc przynajmniej ona musiała jej bronić, a ja znalazłem się na pierwszej linii frontu. Sam też co nieco dołożyłem do tej niechęci, gdy przekonany, że mi wszystko wolno, taką jestem alfą i omegą, zwróciłem jej uwagę, że Jugosławii już nie ma, jest teraz Serbia i Czarnogóra. W sali zapanowała cisza nie mniejsza niż po pamiętnym rzucie dziennikiem, a historyczka siedziała czerwona jak burak, gotowa wsadzić łeb pod ziemię jak struś z Australii. Przy okazji kolejnego zebrania powiedziała mojej mamie, że stałem się przemądrzały, a na kartkówce wlepiała pierwszą w życiu pałę z historii, za pomaganie Adasiowi.

Z przewodniczącą z kolei było mi nie po drodze, od kiedy zupełnie nieintencjonalnie ściąłem piłkę prosto w jej twarz. Graliśmy w siatkę na trzepaku i zalała się krwią, a wszystko to na oczach kolegi, w którym się kochała. Zaraz potem wygrałem konkurs szybkiego czytania, w finale pokonując kujonice z 2A, która była jej najlepszą przyjaciółką. Z moich doświadczeń wynika, że to nie przeciwieństwa się przyciągają, a podobieństwa, jak przewodnicząca i kujonica, ja i Adaś, niebo i morze na horyzoncie, a także nasi wuefiści, najlepiej czujący się w swoim kantorku, nie na pogrzebach.

Dlatego może z takim wyrozumieniem się rozstąpili, kiedy z trudem przedzierałem się przez ludzką palisadę w drodze do wyjścia, zanim jeszcze pozwolono nam odejść w pokoju Chrystusa; nie okazali się nieubłagani, jak w przypadku skoku przez kozła. Zastanawiałem się wtedy, czy symulować omdlenie, czy po prostu wybiec z sali gimnastycznej, nim przyjdzie moja kolej. Ale co potem? Trzeba mieć gdzie uciekać, jakiś plan, żeby nie skończyć jak członkowie Sonderkommando.

Pamiętam, stałem sam przed kaplicą i myślałem o babci, mamie i pizzy calzone, do których było daleko jak do księży-

ca. Pod niskim, ołowianym niebem wiał wiatr, padał deszcz, a płomyki na grobach paliły się rzadko, jak światła w oknach bloków z wielkiej płyty, co otaczały cmentarz ze wszystkich stron. Marzłem.



Ewa Nowakowska
Dusza w studni

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Lucek przyszedł z rana cały mokry. Czarna sierść posklejała się tak, że można mu było wszystkie żebra policzyć. *Cholerny świat, trzeba oddać łupy* – pomyślał. A przynajmniej wyglądał, jakby tak pomyślał. Na wyszczerbionych, betonowych schodach położył upolowanego gołębia. Usiadł i zaczął wylizywać sierść. Kiedy przejmująco zaskrzypiały stare drzwi z obłuszczoneymi resztkami orzechowej farby olejnej, wielkie oczyska już się świeciły od kociego szczęścia. Wysunęła się pomarszczona gębula z grubymi szklami okularów i z mechaniką zegarowej kukułki rozejrzała się na wszystkie strony. Uśmiechnęła się jak kot na widok gołębia pod drzwiami i sucha, koścista ręka błyskawicznie wciągnęła ptaka do środka. Po chwili babcia Honorka, przezywana przez sąsiadów *Horrorką*, wyszła znowu na dwór. Wyniosła brązową blaszaną miskę, szurając wielkimi kapciami, obszytymi futrem burym, jak reszta jej ubrania. Pogłaskała kota przez całą kościstość grzbietu.

– Coś ty taki mokry, diabelskie nasienie? Hulaj dusza piekła ni ma, co? Trzy dni rajzować, no no! Ale gołąbek na przeprosiny tłuściutki! Masz szczęście! Honorka zaraz ugotuje rosółek.

Kot łasił się u nóg, a babcia nachyliła się i znów zaczęła się rozglądać, teraz powoli, jak sowa na gałęzi, żeby czegoś nie przeoczyć. Odpięła zatrzaskę i zdjęła z kociego karku pasek białego, króliczego futra. Zobaczyła kilka gołębich piór przyklejonych krwią do betonu. Szybko je pozbierała i schowała do kieszeni fartucha, a na krwawej plamie postawiła miskę z mlekiem.

– Dobry Lucyfer, dobry... mój Lucuś... – podrapała za uchem mlaskające mlekiem kocisko, aż mu ogon zatańczył i wróciła do domu.

Dom babci Honorki stał z dala od głównej, asfaltowej drogi i wyglądał tak, jak większość starych domów starych lu-

dzi. Był mały, otynkowany szarą, odpadającą gdzieś gdzie zaprawą, przykryty czapką szpiczastego dachu z omszałego eternitu i tylko po odymionym kominie i siatkowej antenie telewizyjnej, wyglądającej z kępy krzaczorów, można było poznać, że jednak ktoś tam jeszcze mieszka. Przed domem z jednej strony stała przekrzywiona szopa na węgiel, a z drugiej leżała kupa starego, pokruszonego eternitu. Zwykłe, zarosnięte, wiejskie podwórko, tyle że bez studni, bo jeszcze za nieboszczyka męża założyli wodociąg. Mało kto też pamiętał o samotnej staruszce oprócz listonosza. Tylko on, przywożąc emeryturę, co miesiąc od nowa wyjeżdżał samochodem drogę do starego domu. Ale babcia, mimo swoich lat, radziła sobie, jak mogła. Co parę dni, podpierając się drewnianą zakopiańską laską z głową orła, wychodziła w swoich kapciach podreptać trochę po asfalcie. Lubiła zaglądać na cudze podwórka i pogadać z sąsiadami. Ale to, to nie bardzo się udawało.

–Widzisz Lucyfer, ludzie teraz to tylko wrzepiają ślipia w telewizor, albo wsadzają dupy w samochód i jadą w diabli! A na starego człowieka to patrzą jak na ten kamień na drodze, boją się kopnąć, to mijają bokiem! – narzekała do czarnego kota, który za nią łaził.

Od wielu lat co rano wychodziła też do szosy, do nyski (obwoźnego sklepu) po zakupy.

Czas mijał, nyska rdzewiała, ale sklep ciągle przyjeżdżał. Tego dnia Honorka też czekała na niego ze swoim kotem, przy drodze.

– O matko najświętsza! Zobacz Lucyfer! Czarny karawan po mnie jedzie! – przestraszyła się.

Wielki, zagraniczny samochód zatrzymał się na wprost jej kapci. Przeczytała napis „Hades – zawsze w porę”. Bezszelestnie odsunęły się drzwi i ukazało się wnętrze sklepu wraz z uśmiechniętym sklepowym.

– Dzień dobry pani Mrokowa! Co to? Nie poznała pani mojego supermarketu?

– O matko wspomóż! Już myślałam, że mi się zwiduje i wybiła moja ostatnia godzina, jak zobaczyłam tego Hadesa! A po co on na nysce z jedzeniem?

– A, to taka reklama. Był kiedyś taki grecki bóg, opiekun kupców

– I złodziei... a żeby go ciort! Ale to chyba był Hermes. Hades, to na tamten świat zabierał na wieki wieków amen! Ja tam za młodu do szkół nie chodziłam, ale jak jeszcze widziałam litery, to trochę czytałam. A zresztą nie wiem, stara już jestem, pewnie mnie się pomyliło.

– *Zabiję gnoja, ale mi obciachu narobił! Ja go sprawdzę, tłu-ka niedouczzonego!* – sklepowy wygrażał w duchu siostrzeńcowi, wykonawcy wątpliwej reklamy, ale do klientki uśmiechnął się srebrnym zębem – E, nie ma się co bać! Świetnie się pani trzyma. A ile to już lat tak bozia sprzyja?

– Nie, nie zawsze niczyja. Męża miałam, ale umarł. Nie szanował się, papierochy kurzył, wódkę pił, a i na dzikie baby też pono chodził. Ale tego to nie wiem. Ludzie podłe som, to pletom.

– Dawno mu się chyba zmarło, bo nie za mojej pamięci?

– A bo ja wiem, czy za to garło wzięli go święci?

– To co dzisiaj podać, pani Honoroko? – krzyknął sklepowy, żeby babcia tym razem dobrze usłyszała.

– A pół chlebka, pudełko karmy dla kota, kostkę rosołku, to sobie dorzucę do goł... – odchrząknęła – do gorka, i ze dwa pentka kiołbasy. No i jeszcze bułkę z budyniem, bo takie mientkie, i proszki od bólu głowy, bo już mi się kończom.

– Często panią głowa boli, może lepiej do lekarza?

– E tam, wcale nie boli. Stara jestem, ślepa, głucha, to trza coś brać! A jak se tak ze dwa prochy naraz słodkom herbatom popije, to i ogródek skopię, i cały odcinek „Z piekła rodem” obejrzę. I nawet na reklamach nie usnę! – zachichotała.

– I dawno już pani tak bierze?

– A tak, dobre zwierzę, bez tego kotka to bym chyba sama nie wytrzymała.

Sklepowy dał sobie spokój z pytaniami, życzył jej zdrowia i odjechał, zastanawiając się, jak to właściwie jest z tą głuchotą babci Horrorki. Też znał to przezwisko, sąsiedzi donieśli.

Józek Buda, zwany Hrabią, niedawno wyszedł z więzienia, gdzie odsiedział pięć lat, nie pierwszy raz, za niewinność. Rozglądał się za jakąś robotą. Pomału. A do czego miał się spieszyć? Zamieszkał z ojcem, bo doszedł do wniosku, że stary potrzebuje opieki. Naprawdę było z nim coraz gorzej, już nawet wódki nie mógł pić. To po co mu cała emerytura? Starczy teraz na dwóch. Hrabia sprowadził jeszcze Melanię, którą poznał przez Internet, w czasie odsiadki, bo czasem chłop musi przyłożyć komuś, kto zaraz nie polecą na policję. A jak odda, to najwyżej oko podbije, ale zęby zostaną na miejscu. Melania dostawała rentę za niepełnosprawność, której nie zauważył i alimenty na jakieś dziecko, którego na oczy nie widział. To i na wino nie brakowało, i kolegów przychodziło sporo. Hrabia, jak umiał pozbijał do kupy stary gołębnik i założył hodowlę gołębi. Nie miał ambicji, żeby były jakieś tam pocztowe czy zarodowe. Zależało mu tylko na tym, żeby ich było dużo i żeby srały wszystkim sąsiadom na dachy i kostki brukowe. Gołębie chyba wyczuwały intencje swego hodowcy, bo za każdym razem, kiedy wzbijały się w niebo, nie latały nad polami czy lasem, ale od razu kierowały się nad piękne domy i dokonywały takich zrzutów, jakby specjalnie na tę porę powstrzymywały swoje możliwości fekalne.

Z początku sąsiedzi próbowali Hrabiemu kulturalnie tłumaczyć, że nie podobają im się zapaćkane dachówki i podjazdy, ale bardzo szybko doszło do wyzwisk i straszenia policją. Aż kiedy jednemu spłonęła altana, drugiemu ktoś taśmą przykleił

psa do kolumny przy wejściu, a trzeciemu wlał bańkę ropy do oczka wodnego – awantury ustały.

Bujaj! Bujaj! – krzyczał radośnie Józek Buda, machając czerwoną szmatą na długim kij, a gołębie białą chmarą szybowwały nad wsią.

Szkoda, że Hrabia nie miał czasu zrobić zamka w drzwiczkach gołębnika, ale zawsze podpierał je patykiem. Mimo to ptaków regularnie ubywało i chociaż rozkładał kiełbasę z trutką na szczury i zastawiał sidła, nie mógł schwytać przebiegłego mordercy. Wiedział tylko, że to czarny kot z paskiem białej sierści na szyi. *Kiedyś obedrę cię ze skóry, bandyto!* – odgrażał się, kiedy kot uciekał.

Babcia Horrorka siedziała w fotelu przed wielkim, oprawnym w szeroką, rzeźbioną ramę lustrem. Pokój tonął w mroku. Smugi światła z okna przeświecały przez gąszcz starych pelargonii z łodygami powykrzywianymi jak kościste palce gospodyni, ukazując galaktyki wędrujących drobinek kurzu. U stóp staruszki siedział spokojnie Lucyfer. Oboje nieruchomo wpatrywali się w szklaną tafelę.

– Widzisz Lucek, mówiłam ci, że musisz być wierny, a nie tylko dbać, żeby było co do garnka włożyć. – Młoda, piękna, kredowolica kobieta w lustrze zimno popatrzyła na bladego mężczyznę w czarnym garniturze, skulonego u jej stóp. Usta zacisnęła w kreskę wąską jak strużka krwi. Wiatr powiał jej świetlistą suknią. Z głowy o długich, kruczoczarnych włosach, suchymi płatkami róż obsypał się wianek. Pozostał tylko krążek cienutkiego, splątanego, zardzewiałego drutu. W mieszkaniu powiało chłodem. Kot stanął na tylnych łapach, przednie wyciągnął jak mógł najwyżej, oparł o poręcz fotela i zamiauczał żałośnie.

– Puść mnie już – powiedział mężczyzna w lustrze, wyprostował się i popatrzył w oczy kobiecie. Chuchnęła mroźną parą prosto w jego twarz i znów skulił się u jej stóp.

– Musisz być wierny, jeszcze nie powiedziała, że jesteścieś... Nie próbuj uciekać, nie zdołaszysz – zasyczała, pochylając się i chwytając go za kark.

Kot znów zamiauczał i kurz gwałtownym powiewem wiatru osiadł na lustrze, kryjąc wszystko, co się w nim działo. Jeżeli się działo.

Staruszka wzdrygnęła się i zamrugła oczami. Porozglądała się chwilę i poznała własny dom.

– Co to się człowiekowi... jak się zdrzemnie w południe, Matko Ś więta?!

Lucyfer wskoczył jej na kolana i wtulił łeb po pachę.

– Czego? O, jak to się kokosi – pogłaskała go z czułością i spojrzała na lustro – dopierom wytarła, już całe zakurzone!

Zsunęła kota z kolan, wstała i zniknęła za zasłonką, oddzielającą część pomieszczenia. Była tam kuchnia węglowa na cztery fajery i biały kredens. Wkrótce pod blachą zaczął trzaskać ogień. Na lepce z białych kafli, w białej, blaszanej miednicy, schły pióra po skubaniu gołębia. Babcia dokładnie wszystkie pozbierała, odsunęła pogrzebaczem fajerkę i wrzuciła w płomień. Nastawiała rosół w emaliowanym garnku, kiedy rozległo się łomotanie do drzwi. Kot czmychnął pod łóżko. Staruszka natychmiast odsunęła szufladkę kredensu, wyjęła dezodorant miętowy i psiknęła na wszystkie strony, żeby nie było czuć zapachu palonych piór.

– Kto tam? – krzyknęła, odstawiając z fajerek garnek z ledwo ogrzanym rosółem.

– To ja, Hrabia. – Uważał, że koledzy z odsiadki słusznie nadali mu ten tytuł. – *Niech i stara wie, kto tu rządzi* – pomyślał, dodając sobie jeszcze odwagi, bo jakoś czuł przed nią dziwny respekt.

– Kto zarabia? Na czym? Zaraz, zaraz, przecież nie fru-nę, stara jestem, już idę – dokładnie zasunęła zasłonę wo-

kół kuchni i podeszła do drzwi. Wzięta do ręki laskę opartą o futrynę, zgarbiła się i otworzyła haczyk. W tej chwili mocne szarpnięcie z zewnątrz rozwarło drzwi na oścież.

– Hrabia! Babko Mrokowa, Hrabia! – wrzasnął jej nad głową.

– Bój się Boga! Czego się tak drzesz? Przecie już widze, przyszłeś starom kobite straszyć?

Ja tam się nie mam potrzeby bać. Stara jestem, już się nażyłam, to i śmierci się nie boję!

– Pani Honorka! Jest sprawa taka i taka! – Wielki chłop z czerwoną twarzą w kołtunie czarnych włosów i pianą w kącikach ust, ledwo widocznych z poplątanej brody, wpakował się do środka i wymachiwał nad kobieciną otwartą dłońią jak tasakiem. Babcia usiadła na łóżku, aż podskoczyła paradna poducha na wierzchu. Śmiało jednak spojrzała w przekrwione oczy wściekłego napastnika.

– A choćbyś mnie i zaraz zabił, to bym pretensji ni miała. A ty młody jeszcze jesteś, raz dwa byś odsiedział, przecie ci nie nowina. Dobrze umiesz wychodki w kryminale szorować, to ci bez różnicy. Tyleś w życiu użył, co cie do wojska wzięli. Głupie to wojsko było, żeby takiego czornego barana żywić!

– Pani Honorka! Niech mnie pani nie obraża! Ja w samej kompanii reprezentacyjnej służyłem, przed Jaruzelskim defilowałem! Na Placu Defilad! Do dziś umiem – i zaczął walić buciorami w podłogę, aż się pelargonie obsypały.

– A usiądź że już na dupie, bo mnie głowa boli i bez tego huku! Możeś i defilował, każdy głupi umi, jak go nauczom co to lewo, a co prawo. I co z tego? Teraz tak żyjesz, jakbyś ten kudłaty łeb miał tylko od zadziranja w górze i patrzenia komu gołębie na dach srają... – urwała nagle, bo uznała, że niepotrzebnie o tych gołębiach wspomniała. Wprawdzie Hrabia zląkł się powrotu do pudła, zatrzymał się i usiadł

przy stole nakrytym wyblakłą ceratą, ale jej obawa była słuszna.

– No właśnie, gołębie! Słuchaj stara, ty masz kota, a ja gołębie. I ten twój bydlak dusi moje wyśwance!

– Iii tam... Wszyscy teraz trzymają koty, jakby się zmówili. Skąd wiesz, że to mój? – zapytała.

– Dziś rano uciekł mi czarny skurwysyn, z białym paskiem na szyi, włókł gołębia w tę stronę, to gdzie on jest? – spojrzał na zakurzone lustro i zakręciło mu się w głowie. Poczucił ciarki na plecach, ale nie wiedział dlaczego. Szybko odwrócił wzrok i omiótł resztę ciemnego pokoju z małym okienkiem i kolorową mozaiką świętych obrazów na ścianach.

– Pokaż, co tam masz?! – zerwał się i otworzył drzwi w głębi, które od początku nie dawały mu spokoju. Ukazało się ciemne wnętrze, pełne sztucznych kwiatów, krzyży i ołtarzyków z zapalonymi zniczami, a spośród szmeru chóralnych szeptów zagrzmiął głęboki głos – *Śmierci naszej amen!*

Zdrętwiał z przerażenia i tylko dzięki naturalnemu instynktowi z powrotem zatrzasnął drzwi.

– Co ty tam babka wyprawiasz? – odwrócił się blady i zmieszany.

– A gównu ci do tego bezbożniku jeden! – całkowicie już odzyskała rezon widząc, że spuścił z tonu. – I wynoś mi się stąd, bo mój kot jest czarny, bez żadnych pasków! Nie on ci kradnie te zasrańce!

– Wyśfance! Pani Honorka, moje gołębie to wyśfance! – poprawił dość grzecznie.

– Wy–srańce czy za–srańce, wielka różnica! Ja głucha jestem, co zrobić? Starość! Lucek! Kici, kici, chodź do babci, kici, kici, pokaż się Lucyfer!

– Lucyfer? A tam krzyże, jak to?!

– A srak to, bandziorze jeden!

Honorka wzięła na kolana kota czarnego jak smoła. Zwie-

rzę popatrzyło na Hrabiego wielkimi, złotymi, hipnotyzującymi oczami, a on nie mógł się ruszyć i z najwyższym trudem przeniósł wzrok na staruszkę.

– Znalazłbyś se jakom robotę, choćby i u Niemca przy szparagach, to zaraz by ci z głowy wszystkie głupoty wyleciały. Postawiła Lucka na podłodze z rudego linoleum, wstała z łóżka i zaczęła wymachiwać laską.

– Gołębie mu dusi! Lucyfer! Słyszaleś? – powiedziała do kota, który nadal patrzył na Hrabiego. Nagle stulił uszy i wyprężył grzbiet, jakby szykował się do skoku. Zaczął prychać i wysunął pazury.

– Faktycznie, cały czarny. To poszukam gdzie indziej. A jak znajdę, to obedrę ze skóry i powieszę na suchej gałęzi! Do widzenia! Pani Honorka!

– *Na razie* – pomyślał, bo czuł, że coś tu jednak jest nie tak. Babcia spojrzała w zakurzone lustro, mignęła jej zakapturzona postać.

– A tam, stary łeb, znowu coś mu się zwiduje, ale trza się naszykować – machnęła ręką, otworzyła drzwi do pokoju, żeby modlić się razem ze swoim ulubionym radiem i wróciła do gotowania rosołu.

Noc przyszła ulewna. Na dodatek zgasło światło. Wicher dudnił deszczem po blaszanych dachach, zjeżdżał strumieniami po zimnych dachówkach, a rynny grały jak organy szalonego organisty, krztusząc się bluzgami wody. Skołatanę za rośla babcinego podwórza z bezsilności przygięły gałęzie i rzucały się bezwładnie, całkowicie już poddane nawałnicy. Na moment niebo zapłonęło oślepiającymi żyłami błyskawic i pod koroną gigantycznej wierzby oświetliło wysoką, zakapturzoną postać w płaszczu przeciwdeszczowym. Józek Buda wsunął rękę do kieszeni, żeby się upewnić, że ma powód, by tu właśnie szukać zemsty.

Tego wieczoru wyszedł do ogródka nakryć plastikowymi wiadrami młode pomidory przed burzą i znalazł kocią obrozę z białego, króliczego futra, zaczepioną o krzak agrestu za domem. Miał ją w kieszeni jako dowód na oszustwa, złodziejstwa i morderstwa starej dewotki.

– Hrabiego kręcić?! Gołąbki mu mordować?! Hrabia zniewagi nie wybacza, nigdy! – ryknął w ciemność i ruszył do drzwi z siekierą w garści. Wiatr porozwalał stos eternitu i Józek musiał lawirować, żeby omijać przeszkody i nie poślizgnąć się na mokrych płytach. Nagle coś z dzikim wrzaskiem skoczyło mu do oczu i poczuł ból rozoranej pazurami twarzy. Zachwiał się i... runął w jakąś przepaść. Jego krzyk nie przedarł się przez wycie żywiołów.

– Wiedziałam, że ta stara studnia jeszcze się na coś nada. A mój świętej pamięci chciał ją zasypać! A ja mówiłam – przykryć eternitem i niech se będzie. Widzisz Lucuś? I doczekała się! – babcia zajrzała w czeluść – Tam paraduj, ile wlicie, bandziorko jeden! – Pogłaskała kota i zabrała się do układania eternitu na okrągłej, czarnej czeluści. Wkrótce, w błyskach piorunów, bicze ulewnego deszczu chłostały błotem piramidę popękanych płyt falistych, leżących tam, gdzie zawsze.

– I co by to było? Zamordowałby mnie i zgniłabym przed pogrzebem, bez ostatniego namaszczenia, a to grzech śmiertelny! – staruszka skończyła robotę i przeżegnała się z pokorą, wracając do domu.

– Dobry kotek, dobry Lucyfer, aleś mu dał po mordzie! Dobry, wier... powstrzymała się przed dokończeniem ostatniego słowa, popatrzyła w niebo na daleką błyskawicę – wie... działaś, jak Honorkę obronić. – Kot zamiauczał żałośnie i otarł się o jej nogi.

Nie zapalała światła. Stare lustro jaśniało i falowało w rozbłyskach oddalającej się burzy, a kot zaczął biegać jak sza-

lony z kąta w kąt. Horrorka podeszła bliżej, zdawało jej się, że przez grubą warstwę kurzu widzi swojego męża Lucjana i siebie z młodą twarzą i czarnymi włosami. Piorun uderzył w wierzbę na podwórzu i ogromny konar z hukiem upadł na dopiero co ułożony eternit, ostatecznie pochował studnię pod kłębowiskiem gałęzi.

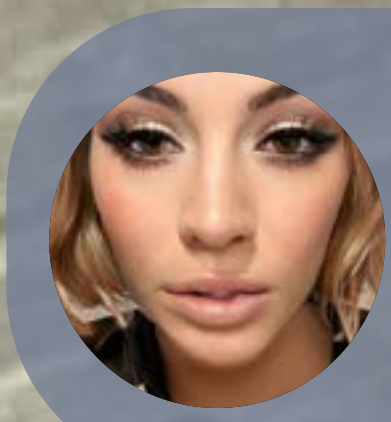
– Aaa! Starczy już tego przeglądania się! – mruknęła ze złością, ściągnęła narzutę z łóżka i zakryła drżącą, pewnie od pioruna, lustrzaną taflę trema, odziedziczonego po matce. Podli ludzie we wsi przezywali ją czarownicą – *A mamusia była taka piękna...* – otarła łzę.

– Chodź tu Lucek, musisz się ze mną pomodlić, albo cię pokropię wodą święconą.

Kot skurczył się i zamiauczał, ale Honorka wbiła mu kościste palce w kark i zawlekła przed ołtarzyk w pokoju – chodź, mówię, pomodlimy się za dusze w studni.




18. Opowiadania
International Short
Story Festival



Bogdan Nowicki
Wniebowzięty

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Pewnego dnia, a był to dzień suchy jak pieprz, Wincenty Tlik-tlak poczuł w sobie taką słabość, że musiał przysiąc na schodkach pomazanej sprayem kamienicy. Zrobiło mu się ciemno w oczach. Uszy zwinęły się w ślimakowate rolki – coś w nich pulsująco dzwoniło. Krople potu wystąpiły na czoło. Z rozchylonej zuchwy pociekła ślina. Ręce drżały, jakby podpięte do niewidzialnego gniazdka. Tylko nogi leżały, niby kłody i w żaden sposób nie dały się poruszyć.

– Łobocz!... Łozarty z samego rana... – powiedziała starszka w perkalikowej chustce na głowie, ze szkaplerzykiem pod pachą do swojej koleżanki, która prędko, coś mamrocząc, przeżegnała się krzyżem. Dreptały na poranną mszę i nie wiedzieć czemu czuć było jodyną w miejscach, jakie za sobą pozostawiały.

Potem było jeszcze gorzej, bo zuchwale zaciekawione maluchy, idące ze swymi mamuškami do przedszkola, przystawały przy tym dziwnym słomianym chochole, podrygującym na schodach, chcąc go złapać a to za nogawkę, a to za rękaw, a to za wiecheć brody. Zniecierpliwione matki szarpały je i wyganiały do przodu – wtedy niejeden uparty malec zaczynał drzeć się wniebogłosy. W tak wysokich, piskliwych tonach, że nawet listki na drzewach zamieniały się w zwitki papieru – pomimo lata nagle truchlała w nich jesień.

– Niy miał sie kaj schłoć, pijok zatracony, tfu... – złorzeczyła to jedna, to druga matka, poprawiając włóczkowy beret. Dlatego też te wczesnoporanne kobiety nazywano w dzielnicy bereciarkami. Wszyscy schodzili im z drogi, gdyż były cięte jak osy. Buzowała w nich nadmierna energia, niepohamowana chęć do zaczepki, i do wścibiania nosa, gdzie popadnie. Co chwilę pojawiała się na ich wydętych wargach sroga wyniosłość. Wszak nie były to już zwyczajne podlotki, rozchichotane gówniary, lecz prawdziwe rodzicielki.

Kiedy zaczęły bić dzwony parafialnego kościoła pod we-

zwaniem Piotra i Pawła, Tliktlak zaczął powoli dochodzić do siebie. Oparł się łokciami o drugi, wyszczerbiony schodek.

– Przyszła kryska na Matyska – wyszeptał, drapiąc się w wychudłą, ciężko dyszącą pierś.

Na płaskich, zmechaconych dachach chlewików dymiło ciepło. Wróbelki trzepotały skrzydełkami. A prądkowany kocur z lubością lizał przednią łapę. Znowu zapowiadał się upalny dzień.

Na rogu ulicy przygarbiony Cypek z wielkim łomotem zsunął żelazną kratownicę minimagazynu pod szyldem „Urządzenia pneumatyczne”. Z powodzeniem sprzedawał hamulce, młoty i świdry. Przemyśliwał, żeby wynająć jaki większy skład. Za ciasno robiło mu się w tej kurzej dupie Chropaczowa. Miał pewną metę na oku, ale brakowało jeszcze trochę waluty. Gdyby nie żona, już dawno by stąd wybył...

– Yno cycko i cycko – westchnął z pretensją do swojej połowicy, zapalając papierosa.

Poprzez smugi wijącego się dymku zauważył półleżącego na schodkach przy dawnej, nieczynnej obecnie przychodni, Tliktlaka, który jakoś dziwnie wiercił się i machał rękami.

– Niy mo nikogo z kerym mogby potaćcować – zażartował w myślach Cypek i mocniej zaciągnął się skrętem. Po chwili jednak jego twarz wyraźnie spochmurniała. Strzyknął śliną w bok. Pokręcił gwałtownie głową, wytrząsając z niej złe wspomnienia. To przez tego łajdaka, co dobierał się do jego matki, przezywano go w całej dzielnicy bękartem albo podciepem. Ileż najadł się wstydu, ileż doznał upokorzeń...

– Niy ch go szlag trafi! – syknął, wchodząc powoli do swojego sezamu.

Tymczasem Tliktlak zaczął burczeć coś pod nosem. Machinalnie złapał się za klekot. Ten klekotał już nieco bardziej miarowo. Znowu kropelki potu zrosiły mu czoło, tym razem z ulgi, ale i ze strachu. Usiadł.

Rozpoznawał tę wąską, boczną uliczkę po której pyrtał skoro świt do piekarza, purchawkowego Dymki, po chrupki bochen chleba robiony na zakwasie. Skakał wtedy po kocich łbach, bo uliczki nie pokrywała jeszcze warstwa asfaltu. Mocny zapach mąki, świeżo upieczonego pieczywa, końskich bobków i parujących cegieł roznosił się po całej okolicy. Mały dzwoneczek nad drzwiami piekarni oznajmiał, że ktoś wchodził lub wychodził. Latem jednak zwisał zupełnie obrażony na bezczynność, ponieważ wtenczas drzwi były otwarte na oścież.

– Wincek, przy cie idzie zygorki sztalować – witał go jowialnie, pucowałowy, obsypany mąką, niby wiosennym pyłem, Dymek, wycierając potężne, czerwone z odmrożenia łapy w fartuch. Lubił brzdąca, chyba jedyne klienta z całej klienteli.

– Dziyń dobry wom... jo po chlyb... – witał się co rano wystraszony Tliktlak i nim się zorientował, już obgryzał paznokiec – A łopowiydzie ło ty wielki wodzie, kajście tam byli...

– prosił, zachęcony uśmiechem piekarza.

– O ja, Tichij Okean – wzdychał ten, wciskając ciepły chleb do siatki. – Takiego łogromu wody niy ma nikoj na świecie. Fale trzy razy wiynksze łod wieży naszego kościoła! Chmury łogromne i ciynżke kej pieron... lejby siadły na pokład to zatopiom karabel, to je statek. A ryby co my łowjyli, o take wielgachne – i wtedy Dymek rozkładał ramiona na całą szerokość. – Nojpiynkniejsze zasik były gwiozdy, wsje niebo było niymi wysione... i jasne kej latarnie – i wtedy spuchnięte oczy Dymka jeszcze bardziej puchły i zaczęły mięknać, zaś po pobielonych policzkach ciurkały słone kropelki. – O gwiazdeczko, gwiazdeczko maja kuda ty prapała...? – zaintonował, a potem nagle zaciskał nabrzmiące wargi...

Już od dziecka mały Tliktlak marzył o tym, aby zostać marynarzem i pływać po wszystkich oceanach świata. Chapnął nawet globus z pracowni geograficznej, który wyniósł

w dużej brezentowej torbie. Schował go w piwnicy. Często wodził, w świetle latarki, brudnym paluchem po niebieskich, osiatkowanych równoleżnikami i południkami toniach: Ocean Atlantycki, Ocean Indyjski, Ocean Spokojny... Natrafiał na dziwaczne nazwy portów, zupełnie nie z tej ziemi: Kalkuta, Bombaj, Kapsztad, Montevideo, Balboa, Szanghaj, Singapur... na wyspy o nazwach wymyślnych, baśniowych: Cejlon, Sumatra, Borneo, Celebes, Niue, Hawaje... Uczył się ich na pamięć, a potem wymamrotywał gorączkowo przez sen, walcząc z groźnymi falami.

– Co za duractwo mie nałazi – machnął ręką, próbując wstać, ale na to było jeszcze za wcześnie.

Przesunął się w bok i wsparł o murek, gdzie znalazł cień obok chlustających z nieba gorących promieni.

Nagle zobaczył zbliżającego się Frajlicha, który pchał terkoczącą taczka, wypełnioną workami z cementem. Był ubrany w poplamiony, granatowy kombinezon. Na jajowatą głowę miał nasunięty szary, pochlapany wapnem kaszkiet. Ruszał się całkiem zwawo jak na swoje lata i zawsze budził mimowiedny uśmiech, ponieważ co kilka kroków dygał, jakby mu kto zamienił kręgosłup w sprężynę. Przed czym lub przed kim tak dygał, czort to wie. Gadano, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy szlajał się z innymi młokosami po godzinie milicyjnej, przydybali go zomowcy i porządnie wypałowali, każąc mu kłaniać się po kolei każdemu z nich. Krótko mówiąc, przetręcili chłopaka. Przetręcili na amen.

– Co cie widza, dursik bumelujesz – zagadnął Frajlich, przystając, aby odsapnąć.

– A ty z rzyciom niy usiedzisz na miejscu! – odciął się Tlik-tlak, bo znowu poczuł ożywcze krążenie krwi w żyłach.

– Jedyń robi, a drugi bumeluje...

– Czy sie robi, czy sie leży, na kwarantka sie należy – stwier-

dził Tliktlak i dwóch staruszków z nostalgią westchnęło jednocześnie za dawnymi, peerelowskimi czasami.

Tak, były to czasy prosperity. Zjeżdżały się tutaj lumpy z całego kraju. W kopalniach fedrowano na cztery zmiany, a i huty huczały od ogromnych, żeliwnych kotłów przez całą dobę. Już od Mysłowic, kiedy pociągiem wjeżdżało się w to węglowo-przemysłowe El Dorado, nad całym regionem wisiała ciemna kopała: dymu, spalin, wyziewów i sadzy. Zaćmienie słońca było tutaj codziennością. Światło nie świeciło, rozpełzało się w zatrutym powietrzu, wsiąkając w pył. Dlatego ludzie mieli tu skórę porowatą, bladą jak kyjza, zwiotczałą. Zaciekała ona różnymi brunatnymi plamami i była upstrzona brodawkami. Jedynie oczy nie traciły własnego, wewnętrznego blasku: blikały to tu, to tam, jakby wierciły się w nich niecierpliwe, metalicznie lśniące owady. Wszyscy chodzili po omacku, zawsze z głową i ramionami wysuniętymi do przodu. Kiedy zaś zawyły kopalniane syreny, oznajmiające początek lub koniec szychty, wychodzących lub wchodzących górników do łukowatego tunelu centralnej bramy, matki, żony, kochanki, córki pozdrawiały głośno i dobitnie: „Szczynś Boże!”. Potem potok jasnych kasków zjeżdżał lub wyjeżdżał z huczących od rur wentylacyjnych podziemi. Wiele pogruchotanych kasków pozostawało tam na zawsze. Wtedy wiele kobiet, wracających z blichowanym płótnem do domu, w jednej chwili zamieniało się w posiwiałe staruszki. Wiele dzieciaków zaczęło połykać pierwsze grudki soli swojego sieroctwa. I tak tężały ścięgnię w tych ludziach, z pokolenia na pokolenie zmagających się z przywartą do pleców kostuchą...

– Wiysz kaj idzie dostać ostrużyny? – zapytał Frajlich, przysiadając się na najniższym schodku. Z bliska jego twarz była ogorzała i poryta bruzdami, przypominała korę wyschłego pnia.

– Za czym ci łone? – odburknął Tliktlak i przesunął nogi ku ziemi, aby wstać. Zachwiał się tylko i pacnął z powrotem.

- Łozartyś...? – warknął zdziwiony sąsiad.
- Eee tam, jakoś słabizna...
- No ja, stary zgrzybiały ciul.
- Zeschniynty kej po rzyć.
- Potrzebują miecha wiorkow, po nich sie lepij szoruje zola – wyjaśnił Frajlich i coś mu się we łbie nagle popułało. – Przed komuniom matka łoczyściła nimi cało podłoga, po same dechy...

Tliktlak spojrział na jaskrawego mlecza wyrastającego ze ściany. Dyndał w krótkich porywach wiatru.

Przystępował wtedy do pierwszej komunii świętej razem z Frajlichem. Właściwie to była ich cała gromadka, dziewczynek i chłopczyków w śnieżnobiałych ubrankach. W jednej ręce trzymali równie śnieżnobiałe modlitewniki, w drugiej długie, przyozdobione jemiota świece. Tylko Frajlich wyróżniał się z całej czeredy – miał klapę marynareczki przepasaną grubą, czarną wstęgą. Jego ojciec kilka dni wcześniej zginął w hucie „Batory”.

Nikt nie mógł uwierzyć w ten wypadek. Stary Frajlich był doświadczonym, zdyscyplinowanym pracownikiem. Uważającym i surowo przestrzegającym przepisy BHP. Wszedł razem z pomocnikiem, grubym, zawsze lekko podpitym Zenkiem do tlenowni po butlę. Nad magazynem wisało wielkie ostrzegawcze hasło: „Tlen daje życie. Tlen życie odbiera”. Fachowcy doskonale wiedzieli, że nie ma groźniejszej mieszanki wybuchowej od tej, gdy tłuszcz, choćby najmniejsza plamka tłuszczu!, połączy się z tlenem. Dlatego przed wejściem do magazynu starannie sprawdzano ubranie, czy na pewno jest czyste. Był bezwzględny zakaz wnoszenia jakichkolwiek, choćby tylko zatłuszczonych rzeczy, nawet kanapek ze smalcem. Po dokładnym otaksowaniu się, Frajlich i Zenek kiwnęli głowami. Jest w porzo. Starszy majster zdjął kłódkę, otworzył metalowe drzwi i pierwszy wszedł

do środka. Butle, ustawione dwurzędowo, wypełniały całą halę. Nagle, a był to tysięczny ułamek sekundy, Frajlich przypomniał sobie, że ma rękawice w kieszeni, rękawice powalane smarem ciekącym z łożysk. Westchnął, chciał jeszcze pacnąć się w czoło za tę nieuwagę, lecz w tym samym momencie nastąpił potężny wybuch. Jedna z butli okazała się nieszczęlna. Z jego ciała pozostała zwęglona kula. Zenek, uderzony rozżarzoną podmuchem, poleciał daleko w tył, jak płonąca pochodnia. Zanim do niego dotarło, całe mięso już na nim skwierczało.

– Do jasnego pierona... – otrząsnął się Tliktlak.

Z tego pierwszego sakramentu zapamiętał jeszcze różnokolorowe parasolki, cały długi zastęp rozpostartych parasolek, jakimi matki chroniły wykrochmalone, białe, komunijne ubranka przed zlatującymi z nieba, wirującymi, dużymi płatkami sadzy.

– Dziyń dobry darmozjady! – zakrzyknęła z drugiej strony ulicy ryszawa Rita, dziwnie człapiąca, jakby miała czopek w zadku.

– Kajżeś podziola swojego komandosa? – zapytał Frajlich, podnosząc daszek kaszkietu.

– Ach, powadzili my sie, niy chca go znoć chachara jednego... łodkond przyjechał ze ty Syrii, to durś cosik mu bije na dekel... Niy idzie sie z nim dogodać... Zasie pewnie pódzie w cug...

– Nałoglondoł sie tych trupow i ruin, to mu wali – zauważył Tliktlak, czując powracające słabnięcie.

– Ja, yno czymu jo mom bez to ciyrpieć... A do świrola niy chce iś, nawet za darmo, bo państwo płaci... Mioł tyż jechać do keregoś sanatoria, kaj tam tych oberwanych leczom, ale co tam, mo to w rzyci...

– Konowały mu niy pomogom... szkoda chopa – westchnął Tliktlak.

– Ida do masarza, majom być dzisioj krupnioki, wzięć wom?... – powiedziała Rita innym, tubalnym głosem.

Wtem podniosła drżące ręce, jakby chciała ucaścić puch wywiewany z klonów. Owinął ją blask odbity z szyb – i w tym blasku nagle jej twarz zrobiła się czerstwa, podobna do suchej kromki chleba. Zakołysała się. Gdyby Tliktlak był w pełni sił, to podbiegłby do niej, aby ją podtrzymać.

– Chyba niy wyrżnie ło gleba – pomyślał z wyciągniętymi bezradnie ramionami.

Frajlich tymczasem siedział zupełnie obojętny, nie widział tej raptownej zapaści kobiety.

– Może mie sie to zdowo... – burknął Tliktlak i zamrugał powiekami.

– Bije ta klara dzisioj po glacy fest – stwierdziła już swoim, chrypliwym głosem Rita. – Wlyźcie kaj do lauby, bo wos tukej poparzy – rzuciła jeszcze na pożegnanie.

– Ja, czos sie zbiyrać – powiedział Frajlich, klepiąc się w kolana. – I co?...

– Co co?...

– Miech łośtrużyn.

– Eryk bydzie mioł.

– To łośn dali stolarzuje?

– No przecaski.

– A kedyś łośtatnio boł u niego?

I zafrapowany Tliktlak zdał sobie nagle sprawę, że spotkał Eryka chyba jakieś kilkadziesiąt lat temu. Pokręcił głową.

– Niydowno – szedł w zaparte.

– Och, Wincuś, Wincuś, ciebie już nic yno dać kryja – westchnął Frajlich, stojąc przy taczce. – Idziesz?...

– Niy, jeszcze chwila posiedza.

– No to patrz tam jako.

– Ja, ty tyż...

Słońce przepołowilo ulicę: jedna strona buchała skwarem,

druga pozostawała w głębokim cieniu. To mżyło, to falowało powietrze pomiędzy tymi strefami. Dłuższe wpatrywanie się w ten kontrast mogło zakończyć się kurzą ślepotą.

Tliktlak przesunął się jeszcze bardziej w głąb wejścia obramowanego portalem z ostrołukowym zwieńczeniem. Za sobą miał zamknięte na cztery spusty drzwi. W chłodnym wgłębieniu walały się śmieci: puszki, potłuczone butelki, zmięte gazety i kawałki dykty, i wszędobylskie, jeśli chodzi o zakamarki Chropaczowa, ratujące życie pijakom „małpki”. Cuchnęło szczynami. Ściany pokrywały gryzmoły, zaś odrapane drzwi zdobił wielki napis: „Fuck Świony”.

Nie była to zwykła kamienica, lecz dawniejszy, chropaczowski ratusz, wybudowany jeszcze w tamtym stuleciu, w tamtym tysiącleciu, bo w 1911 roku, według projektu Nixdorffa. Wówczas, podobnie jak Lipiny, Chropaczów był samodzielną gminą, zanim zaanektowały go Świętochłowice. Dumni mieszkańcy zapragnęli mieć swoją własną wizytówkę władzy. Okazałą i budzącą szacunek. Toteż postawiono na rogu ulicy Górnej i Łagiewnickiej piękny, w stylu neogotyckim, dwukondygnacyjny gmach z wielospadowym dachem. Narożnik został wzbogacony wykuszem zwieńczonym ośmioboczną wieżyczką pokrytą blachą cynkową, podarowaną przez działającą wtedy z wielkim rozmachem KWK „Śląsk – Matyldę” i współpracującą z nią właśnie hutę cynku. Całą elewację udekorowano geometrycznymi motywami, wykonanymi z czerwonej cegły. W tym architektonicznym cacku na wysokim parterze znalazły swoje miejsce biura ważnych urzędników i posterunek policji. Piętro zajmowała sala posiedzeń rady gminnej oraz mieszkanie służbowe naczelnika. W przyziemiu gmachu mieściły się sklepiki, które miały zarabiać na utrzymanie całego budynku. W czasie okupacji szwaby i folksdojcze katowali tam śląskich patriotów. Po wojnie wytarto ze ścian plamy krwi i otwarto przychodnię.

Mały Tliktlak zachodził do niej z ojcem wtedy, kiedy ciężkie żelazko leżało mu na klacie. Miał duszności, wybałuszone gały i rzeził, niby zepsuty motor. Pielęgniarki przefruwały po korytarzach pomiędzy poszczególnymi salami i gabinetami. Ulotne i płochliwe, to znów stanowcze i uparte, dyrygowały chorymi. Śmigały nad wypastowanym linoleum, nawołując się ponad garbami pacjentów: „Igła!”, „Opatrunek!”, „Maść!”, „Kaczka!”, „Termometr!”, „Wziernik odbytniczy!”. A ci tylko odwracali głowy, raz w jedną, raz w drugą stronę, w kierunku rzucanych haseł.

– Pierona!... tukej idzie dostać jobla – skarżył się ten czy ów staruszek, skarżyła się ta czy owa staruszka.

Przenikająca woń jodyny, jaką smarowano wszelkie rany, dławiała co węższe płuca.

Tliktlak siadał z ojcem na ławie przed odpowiednim gabine-tem. Malec wiercił się i prychał. Od czasu do czasu zanosił się piszczącym kaszlem. Obserwował skwaszone gęby i już był pewny, że wszyscy znajdują się tutaj za karę. A zwłaszcza on. Tylko ojciec zachowywał zupełny spokój. Wygrzebywał z kieszonki surduta zapałkę, przez chwilę obracał ją w palcach, a potem dłubał nią w uchu. Była to czynność rytualna, wymagająca skupienia, zupełnego odizolowania się od szkaradnej, chorowitej rzeczywistości. Wąskie szparki oczu ojca robiły się maślane. Doskonale wygolony brzytwą podbródek, świecący się od wody kolońskiej, lekko drżał. Krzaczaste brwi unosiły się to górę, to w dół, chcąc odlecieć. A na wargach mimowiednie pojawiał się błogi uśmiech. Stonowany, ukryty pod wąsami, a przez to jeszcze bardziej znamionujący stan rozkoszy.

Nagle drzwi gabinetu uchylały się, a z głębi dolatywał gromki głos:

– Triktrak, proszę!...

Ludzie chichotali. Ojciec wstawał, łamał zapałkę, ciągnąc

za sobą pędraka.

– Jo tymu konowałowi zaroz nazdom – mruzczał groźnie, ty-
piąc rozeźlonymi oczami na prawo i na lewo...

Tliktlak czknął raz, i drugi. Nagle nadwyreżony klekot zerwał się zupełnie, z całych sił uderzył w klatkę piersiową i znieru-
chomiał, skamieniał. Tliktlak zobaczył swoją zgiętą w kabłąk
postać we wgłębieniu zamkniętego ratusza–przychodni. Zo-
baczył ją z góry, podpięty do machających skrzydeł. „Do
diaska, jo już je duchym” – pomyślał i zniknął w pulsującej
żyłce powietrza.

Kilka dni później Rita przykleiła w tym miejscu do ceglanej
ściany klepsydrę. Idący do kościoła ludzie czytali ją, w mil-
czeniu kiwając głowami. Także skacowany co niedzielę Edek
razem z żoną i synem przebiegli oczyma czarne litery na bia-
łym tle kartki.

– Jerona, Wincek niy żyje – zachnął się Edek i podrapał
w szyję.

– Kery?... – zapytała znudzona żona.

– No tyn Tliktlak, co mi sprzedał gołymbie, bo już niy miał
siły za niymi łazić.

– A ta staro pierdoła, durś yno godoł o swoi cerze...

– Ja, Tliktlakowa córeczka, co za Niymca sie udała.

I wtedy okrągły jak piłeczka chłopczyk, który do tej pory li-
czył dziury w chodniku, podskoczył, aż mu coś zagulgotało
w brzuchu.

– Jo tyż chca... tata, jo tyż chca...

– Czego, łostudo? – warknął Edek.

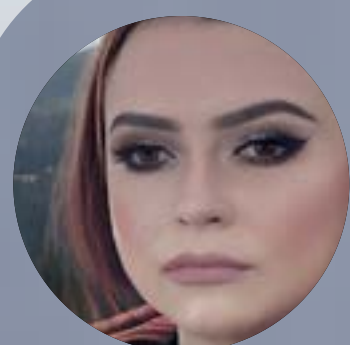
– Trik traki, take same jake majom chopcy na placu.

– Ty wiysz, ło czym łon godo?

Już zupełnie znudzona żona tylko wzruszyła ramionami.

– Podźcie, bo sie spoźniemy na mszo – powiedziała, zer-
kając na przechodzącego obok przystojnego sąsiada w ele-
ganckim, popielatym garniturze.

Niebawem suchy wiatr oderwał pomarszczoną klepsydrę ze ściany i poniósł ponad niskimi dachami chlewików, aż na samą dymiącą hałdę. W ten sposób wszelki ślad po Tliktlaku na zawsze zaginął.



Artur Pacuła
Jak mam do ciebie
mówić?

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Autobus się zatrzymał i wysiedli z niego ludzie. Pełne obłożenie. Kilkadziesiąt osób. Kobiety, dzieci i bagaże. Małe walizki na kółkach. O kolorach bladych i obitych. Po kilku chwilach wiatr przewiał jedną grupę w stronę prawą, a drugą do przodu. Potem znikło kilka kolejnych osób. Po minucie na placu zostały trzy. Nastoletni chłopak z ufnym spojrzeniem, trochę starsza dziewczyna i mężczyzna.



Trzy godziny wcześniej zawyły syreny i większość zgromadzonych wcisnęła głowę pomiędzy ramiona. Zapłakało dziecko, załkała mama dziewczynki o przerażonych oczach. Szalony paniczny kaszel przeleciał przez ponurą halę dworca. Z daleka doszedł gwizd lecącej rakiety. Ścisnęli tobołki i walizki. Pies wtulił się w swoją panią. Patrzył jej w oczy pytającym wzrokiem. Nie bałby się tak bardzo, gdyby ona się nie bała. Huk wybuchu powstrzymał bicie serc i wstrzymał bieg myśli. Na szczęście padło gdzieś daleko. Dalej niż obok, a to wystarczy.

– Autobus – zawołała kobieta. – Do Dorohuska... Zaraz będzie odjeżdżał.

Kilkanaście osób ruszyło szybkim krokiem w kierunku przystanku. Mieli bilety. Kilka innych zaczęło błagać o zabranie ich ze sobą. Kierowca obiecał, że zaraz będzie wracał. Za parę godzin będzie z powrotem. Jazgot krzyków, jęk złości i frustracji oraz oddech ulgi. Ruszyli. Wszyscy próbowali spać, bo było niedługo po świcie. Nie zasnął nikt. Nerwowo patrzyli na boki lub prosto w podłogę.

– Mamo... Gdzie tata? Dokąd jedziemy? Co tam będzie? Pomogą? Kto pomoże? Polacy? Na pewno? Nie sądzę. Cicho... Ciii.... Jakoś będzie. Jedziemy na wakacje. Przecież ferie już były... Eee tam były.

Potem ucichło. Nikt nic nie mówił. Myślał i modlił się. Nie

wierzył do wczoraj. Dziś prosi Boga o wsparcie. Tylko po co? On jest? Mam wątpliwości... Jest. No przecież jest. Jak może nie być. Kurwa... Nie ma i już. Nie może być. Daj spokój. Nie kłóćmy się.



Gwizdnął hamulec. Potem zasyczał silnik. Ktoś upadł na podłogę na kolano. Pomogli podnieść się i wstać. Przed frontem autobusu widać było wielką bramę i zabudowania przejścia granicznego. Po drugiej stronie była Polska. Czy na pewno bezpieczna? Czy nam pozwolą wejść?

– Ludzie! Śpieszcie się! Polska zamyka granice. Za godzinę zamkną granice! – darł się w niebogłosy jakiś młody spanikowany chłopak.

– Zamknij się! – syknęła do niego dziewczyna w białej kurtce. – Pierdolisz! Nie zamykają. Ja mówię po polsku, byłam tam i rozumiem. Powiedzieli, że to bzdura.

Chłopak zamilkł. Skurczył się i przebiegł do następnego autobusu. Zaczął krzyczeć to samo.

– Nie jadę do Dorohuska – powiedział kierowca. – Muszę wracać do Lwowa. Wysiadać.

– Wzięliście pieniądze za jazdę za granicę! – wściekała się ta w białej kurtce.

– Niech jedzie – uspokajała ją inna z uciekinierek. – Tam czeka tyle ludzi. Pójdziemy na nogach.

Powoli wszystkie kobiety wypakowały się z autobusu. Zebrały się w grupki. Ruszyły w kierunku granicy. Ze strachem i nadzieją na odrobinę bezpieczeństwa. Co tam będzie? Wakacje w Polsce? Oni nas lubią? Mamo? Gdzie tata? Idź szybciej! Rusz się kurwa!

Autobus zawrócił w kierunku Lwowa. Smutna, barwna grupa zmęczonych kobiet wolnym krokiem szła ku zielonym mundurom Straży Granicznej. Pełne troski spojrzenia

polskiej obsługi oraz ciepłe słowa dały poczucie spokoju. Niepewne. Chwilowo na parkingu się wyludniło. Zostały tylko trzy osoby. Skurczony mężczyzna miał nieco ponad czterdzieści lat. W lewej ręce trzymał czarną torbę. Prawa drżała nerwowo, więc schował ją do kieszeni. Kilka metrów dalej nastolatka pociągnęła nosem i wyjęła z kurtki paczkę papierosów. Zapaliła i rozejrzała się. Podeszła do mężczyzny.

– A co ty tu kurwa robisz? Nie wolno ci... Człowieku...

– Nie... Nie... dam rady... – jego dolna warga nie mogła się uspokoić. – Zostaw mnie.

– Patrz – wskazała na dzieciaka stojącego samotnie na skraju parkingu. – Debil się do mnie przyczepił.

Zaśmiała się szalonym śmiechem. Opowiedziała mu o tym, że musiała usiąść obok tego kolesia, który okazał się niespełna rozumu. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest w jakiś sposób upośledzony. Jego wzrok nie nosił jednak śladów żadnego strachu. Miał za to dość pokaźne pokłady ufności.

– Niezła z nas trójka, co? – znów histerycznie zaśmiała się po wypuszczeniu kłębow dymu.



– Co tak stoicie? Ruszajcie się! – zawołał ukraiński strażnik graniczny.

– Zaraz! – odkrzyknęła dziewczyna i dodała ciszej, do siebie. – Palę przecież.

Mężczyzna drżał. Może z zimna. Był przecież koniec lutego. Stał bez ruchu i nie miał odwagi iść do przejścia granicznego. Nic nie widział wokół siebie, więc nie zwrócił uwagi na chłopca, który wbił w niego zaniepokojony wzrok.

– Ty... – dziewczyna rzuciła niedopałek. – A jak ty chcesz wyjechać? Nie możesz.

Warga z nerwów drgała mu tak mocno, że nie mógł powie-

dzieć słowa. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, ale on szybko uciekł wzrokiem.

– Dezerter – powiedziała, jakby odkryła jakąś tajemnicę.

– Boję się... – wyszeptał. – Nie uciekam... ja tylko się boję...

Dziewczyna odwróciła się na pięcie i poszła w stronę przejścia. Jej twarz wyrażała mieszaninę rozczarowania i pogardy. Pomacała prawą, boczną kieszeń bojówek. Miała tam paszport.

– Idziesz? – zapytała chłopaka z zespołem Downa. Uśmiechnęła się do niego szczerze. – Co za debil wsadził cię do tego autobusu? Sam nie dasz rady...



Mężczyzna odzyskiwał nieco kontakt ze światem, ale nadal nie wiedział co robić. Z powodu mobilizacji nie miał prawa opuścić Ukrainy. Jakaś siła dopchnęła go do tego miejsca. Do tego miejsca... Do tego przejścia... Popatrzył z daleka na dziewczynę. Podeszła z milutką minką do pograniczników. Pomachała pewnie paszportem i nie zamierzała się zatrzymać. Jednak okazało się, że nie jest łatwo. Spięła się. Wyprostowała. Obejrzała się za siebie szukając wsparcia. Zobaczyła mężczyznę. Westchnęła i pokazała go strażnikowi. Potwierdził coś kiwnięciem głowy. Ona zawróciła i wesołym krokiem zaczęła wracać na parking.

– Kurwa – powiedziała, nie zmieniając wesołego wyrazu twarzy. – Nie chcę mnie wypuścić... Za młoda jestem... Nie mam szesnastu lat ani opiekuna.

– Nie masz szesnastu lat? – pierwszy raz odezwał mężczyzna.

– Wyglądam na więcej, ale zajrzeli do paszportu, kurwa...

– zebrała przetłuszczone włosy w koński ogon. – I wiesz co... Powiedziałam im, że jesteś moim ojcem.



- Nie przeklinaj...
- Nie wczuwaj się... Ja tylko im powiedziałam, że jesteś ojcem... Nie musisz mnie wychowywać.

Nie skomentował. Pokręcił głową i ciężko oddychał.

- To się nie uda, bo ja i tak nie mogę... Nie wolno mi – popatrzył na brudne buty. Nie wyobrażał sobie, jak musiały śmierdzieć od środka. Olga machnęła na to ręką. Wyjęła kolejnego papierosa i zapaliła. Zrobiła krok w stronę chłopca.

- Młody? – nie zareagował. – Młody... Jak się nazywasz? Obejrzał się za siebie, aby upewnić się, że to do niego, choć na parkingu nie było zupełnie nikogo.

– Dima – odrzekł. – Jadę do Polski.

– Sam? – Olga wzięła wielki zaciąg dymu z papierosa.

– Jestem duży i umiem. Kupiłem sobie nawet bilet. Sam!

Coś błysnęło jej w głowie. Podeszła do chłopca i przytuliła go. Uśmiechnęła się szeroko. Objęła ramieniem. Najpierw zerknął na nią z uśmiechem, a potem odsunął się.

– Śmierdzisz – powiedział.

– Nieważne. – wyrzuciła papierosa. – Pomożesz nam. Chodź... Tam jest Serhij. Widzisz? Dalej pojedziesz z nami. Serhij!

Mężczyzna podszedł bliżej. Nie drżał już tak, jak kilka minut temu. Wróciła nadzieja na ucieczkę. Zrozumiał, co knuje dziewczyna. Ona nie mogła wyjechać sama i potrzebowała dorosłego. On nie mógł wyjechać, bo był mężczyzną zdolnym do walki i potrzebował jej. Ale najbardziej potrzebował Dimy, bo tylko z nim mogli go wypuścić jako ojca niepełnosprawnego dziecka. A Dima... Dima potrzebował każdej pomocy.

– Masz paszport? – zapytał chłopca.

– Co? – Zdziwił się tamten.

- Kurwa – zaklął mężczyzna.
- Nie przeklinaj – z sarkazmem rzuciła Olga.



Uzgodnili zeznania i ruszyli w kierunku przejścia granicznego.

- Dima – powiedziała dziewczyna. – Pamiętaj. Jestem twoją siostrą, a to jest twój ojciec.
- Nie wolno kłamać – pokręcił głową.
- To nic nie mów – zaproponowała.

Serhij nabrał powietrza. Potem je wypuścił. Byli już blisko strażnika. Tamten ostrym wzrokiem staksował mężczyznę chcącego opuścić Ukrainę. Wtedy Olga zachowała się jak córeczka tatusia. Przytuliła się i złapała go za rękę. Uśmiechnęła się i pochyliła do ucha.

- Jak ja mam do ciebie, do cholery, mówić?
- Serhij...? – przypomniał. – Mam na imię Serhij.
- Nie – stanowczo odrzekła.
- Tato. Mów do mnie tato.



Strażnik wziął do ręki dwa paszporty. Czytał je dokładnie.

- Jesteś jego córką?
- Tak – odpowiedziała z uśmiechem. Troszkę nienaturalnym.
- A to jest pana syn? – Serhij tylko kiwnął głową na potwierdzenie. Dima milczał zgodnie z umową.
- Ale nie mamy paszportu... – znowu westchnął mężczyzna. – Zgubiliśmy gdzieś po drodze. Potrzebny nam jakiś dokument podróży. Ma zespół... Downa i muszę się nim zająć.

- A żona?

Niespodziewanie po policzkach Olgi popłynęły łzy. Pogra-

nicznik nie pytał więcej. Już miał oddać paszporty, kiedy Dima nie wytrzymał.

– To nie jest mój ojciec, a to nie jest moja siostra – zapadła cisza. Dima ufnym spojrzeniem ogarnął strażnika. Potem rzucił tylko okiem na Olgę i Serhija. Przytulił się nagle do towarzyszy podróży i zawołał. – Żartowałem... Tato, żartowałem!

– Głupi żart – wściekła się dziewczyna.



Przeszli na polską stronę. Do pomocy rzuciła się młoda wolontariuszka, podała im po kubku gorącej herbaty oraz pulchnej kanapce. Dima herbatę rozlał, a kanapki nie mógł rozsupełać z folii spożywczej. Pomogła mu wolontariuszka, a potem dała nową herbatę. Olga kanapkę schowała w kieszeni kurtki, a herbatę odstawiła na asfalt. Ręce za bardzo jej drżały. Wyjęła znowu paczkę papierosów. Nie zdążyła sięgnąć do środka, kiedy Serhij zabrał jej pudełko i zgniótł w silnej dłoni. Potem rzucił daleko w pole.

– Pojebało cię? – Zawołała dziewczyna. Wolontariuszka zamarła, ale uznała, że stres jest jak najbardziej zrozumiały. Uśmiechnęła się niepewnie i odeszła do swojego namiotu. Z parkingu po polskiej stronie odjechał kolejny autobus, a nowy zjawił się ze Lwowa po stronie ukraińskiej.

– Tato. Tato. Tato – powtarzał Dima chcąc odkupić winy z czasów kontroli. – Tato. Idziemy? Jedziemy?

Od strony Polski podjechał biały SUV. Zwolnił dopiero w ostatniej chwili. Zatrzymał się i zza kierownicy wyskoczył młody mężczyzna w czerwonej kurtce narciarskiej.

– Ktoś do Lublina?



Przez chwilę rozmawiali, ale potem umilkli. Najwyraźniej ta rozmowa nie miała szans powodzenia. Kierowca zrozumiał, że oni nie chcą mówić, a on nie powinien pytać. Na ich twarzach widać było niepomierne zmęczenie. Może poza chłopcem, który nadal kipiał zaufaniem i dobrym nastawieniem do świata.

– Andrzej... Andrzej... Andrzej... – podawał dłoń na powitanie, kiedy jeszcze stali na parkingu. Uśmiechał się nerwowo. Próbował tłumaczyć powoli, że ma mieszkanie i da im miejsce do spania. Fajnie, że rodzina będzie razem. Potem zamilkł.

Serhij starał się wcisnąć śmierdzące buty jak najgłębiej pod fotel, a potem do przodu. Miał świadomość, że całe jego ciało musi wydawać niezły smród. Nie było jednak wyboru. Taka okazja mogła się nie powtórzyć. Na przejściu chwilowo było pusto. Jedna wielka grupa się rozjechała, ze Lwowa podjechał kolejny autobus, a im trafił się młody człowiek z wielkim, wygodnym samochodem.

Kiedy zrobiło się ciepło, bo ogrzewanie pracowało jak trzeba, dzieci z tyłu poczuły zmęczenie. Dima ziewnął. Potem złapał za rękę Olgę, w końcu wtulił się w nią i zasnął. Już tego nie zauważyła, bo spała pierwsza. Chłopakowi nie przeszkadzał jej przepalony papierosami oddech.

– Dziękuję – starał się po polsku powiedzieć Serhij, kiedy weszli do mieszkania w bloku. Nie miało wysokiego standardu, ale zostało gruntownie wysprzątane.

– To mamy – powoli mówił Andrzej. – Ale ona stara. Nie może już mieszkać sama. Jest z bratem. Mam nadzieję, że na początek wam wystarczy.

– Da. Da. My szczęśliwi – kiwała głową Olga. – Jutro poszukamy czegoś do wynajęcia.

– Dlaczego? – Andrzej zbaraniał. – Przecież możecie tu mieszkać.

– Pan powiedział „na razie” ...

– Głupi jestem – zezłościł się mężczyzna. – Możecie jak długo chcecie. Ponimajecie?

– Ponimajecie to rosijsku movu – wyjaśniła dziewczyna. – Ukraiński: rozumiyemo.

– Głupi jestem... – zaśmiał się Polak. Machnął ręką i ruszył do drzwi. Wrócił. Zakręcił się. Nie wiedział, co zrobić. W końcu pokazał pełną lodówkę. Łazienkę z pralką. Jeszcze raz do kuchni.

– Zmywarka... Nowa... Mama nie używała. Bała się.

– Rozumiyu – jak umiał, tak uśmiechnął się Serhij.



W kuchni paliło się tylko światło w okapie. Dlatego było dość ciemno. Na taborecie oparty o ścianę siedział Serhij. Obok na stole parowała nieruszona przez niego herbata. Po drugiej stronie kubek był prawie pusty. Dziewczyna wbiła wzrok w mężczyznę, który patrzył na podłogę.

– Bałeś się? – poprawiła świeżo umyte włosy. – Bałeś. Nie dziwię się. Ja też się boję. Zwiąłeś. Ja też. Oni nie chcieli jechać, a ja nie dałam rady. Nie dałam... Wyło i gwizdało. Siedzieli wszyscy pod ścianami i się nie ruszali. Nie umieli. Nie chcieli. Nie mogli się odważyć. Nie wyjęli nawet walizek. Bo wiesz co... Bo kot... Bo pies nie może zostać sam. Nie może.... Kurwa. Kot nie może zostać sam!

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę.

– Papierosy mi kurwa wyrzuciłeś debilu.

– Nie mów tak do niego – pojawił się zaspany Dima. Po kąpieli zasnął szybko, ale najwyraźniej obudził się przez głośną rozmowę i krzyki Olgi. – To jest nasz tata.

– Nie jest! Nie jest! – wykrzyczała.

– No wiem – przerwał jej chłopiec. – Nie jestem głupi. Ale tak sobie udajemy.

– Nie... jest.

– Trochę jest – Dima wziął kubek herbaty Serhija i zaczął pić. – Przywiózł nas tutaj. Dał jeść. Przecież on zrobił kolację. Herbaty zaparzył. Nie jestem głupi. Dlatego trochę jest tata.

– Nie jesteś – uspokoiła się Olga. Przytuliła go bardzo mocno i mocne spojrzenie rzuciła w stronę mężczyzny po drugiej stronie stołu. – Idź spać.

Poszli razem do sypialni i Dima się położył. Nie puścił jednak ręki Olgi. Usiadła obok niego i postanowiła poczekać, aż zaśnie.



Lublin powoli budził się do życia. Ponury lutowy poranek nie napawał optymizmem. Sine chmury zbierały się nad Starym Miastem. Latarnie wciąż oświetlały uliczki, choć mało było w nich ruchu. Zamek rozjaśniał otoczenie swoją elewacją. Za oknem stały bloki niepodobne do tych z Odessy czy Chersonia. Kościół miał dziwny kształt. Śmieciarka cofała, wydając piskliwy dźwięk i podpowiadając kierowcy, jak daleko jeszcze można. Serhij nie zmrużył oka. Siedział cały czas, aż zastane mięśnie zabolowały bezruchem. Potem wstał i dokładnie obejrzał osiedle..

Poczuł pustkę w żołądku. Nie miał jednak siły jeść. Nie chciał też uszczuplać pełnej lodówki. Dzieciaki muszą jeść. On da sobie radę. Wyprane wczoraj ciuchy wyschły na gorących kaloryferach. Spakował je, a na stopy wciągnął świeże skarpety. Wszedł do pokoju, gdzie spał Dima. Obok leżała otulona grubym kocem Olga. Poprawił ten koc, aby nie wystawał nawet najmniejszy kawałek pleców. Potem wyszedł do przedpokoju. Założył buty i szybko wciągnął kurtkę.



Pod wyjściem z klatki schodowej wpadł na Andrzeja. Tamten nie wchodził. Kręcił się pod blokiem niezdecydowany. Spojrzeli na siebie. Bez uśmiechu.

– Co robisz? – zapytał Polak.

– Wracam.

Zatrzymali się w pół ruchu. Wtedy otworzyło się okno na trzecim piętrze. Wyjrzała z niego Olga. Zobaczyła obu mężczyzn. Zamartała.

– Tato! – z trudem przeszło jej przez gardło. – Tato! Dokąd idziesz?

Obaj spojrzeli na nią.

– Nie musisz iść – dodała szybko. – Mamy chleb.

Serhij spojrzał na Andrzeja.

– Nie powinno mnie tu być.

– Tak myślałem – powiedział Polak. – Coś czułem, że jest nie tak... Dlatego przyjechałem.

– Tato! – Dobięło z góry.

– To nie moje dzieci. Ale teraz są już bezpieczne. Widocznie tak musiało być. Same by tu nie dojechały. Teraz już mogę.

– Tato! – wołała panicznie dziewczynka.

Serhij uniósł wzrok i zamachał, robiąc radosną minę.

– Wrócę – zawołał. – Jak tylko będę mógł.

Ominął Andrzeja i poszedł chodnikiem w stronę przystanku autobusowego. Tamten odwrócił się. Zerknął na Olgę. Zamachał też do niej i pobiegł za Serhijem.

– Czekaaj. Zawiozę cię.



Biały SUV wyjechał z Lublina w kierunku ukraińskiej granicy. Pod wstecznym lusterkiem dyndało cudowne drzewko o dziw-

nym zapachu „Born To Rock”. Andrzej prowadził uważnie, ale zerkał na siedzącego obok mężczyznę. Ten oparł głowę o szybę i patrzył w dal. Milczeli obaj. Od granicy ciągnęły już samochody i autobusy. W przeciwną stronę jechał sznur osobowych

– Zajmę się nimi – szepnął Andrzej przez ściśnięte gardło, ale nie było reakcji.– Rozumisz? Pomogę dzieciom – powiedział nieco odważniej.

Serhij oderwał głowę od zimnej i mokrej szyby. Odwrócił się do Andrzeja i zacisnął pięści.

– Ty! Tylko... żeby... ty...

– Co? – nie zrozumiał początkowo kierowca. – Że co? Coś ty sobie pomyślał? Pogrzało cię?

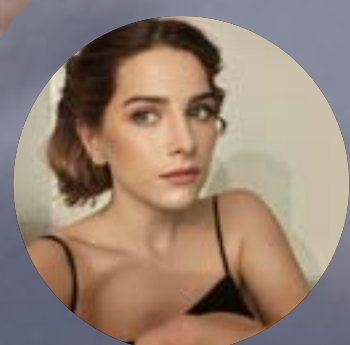
Ukraińiec ciężko oddychał, ale pięści nie rozluźnił.

– Idi na chuj! – warknął Andrzej. Zaśmiali się bezwarunkowo i Serhij odpuścił. Znowu położył głowę na szybie i zapatrzył się w pola. Nowe milczenie wypełniło samochód. Przejechali tak kilka kilometrów w sznurze pojazdów.

– A jadłeś coś? – zapytał nagle Polak, ale nie doczekał się reakcji. – Śniadanie? Kawę?

Serhij tylko lekko zaprzeczył.

– Dobra. To zjedziemy na stację. Hot-doga zjemy.



Zdunek Bartek
Anna Nikołajewa
nie defiluje

▶ A teraz defiluj!
Antologia

Spis treści

Anna Nikołajewa pragnie w życiu trzech rzeczy. Zaostrzonych ołówków, wąskich przejść między blokami i wydatnych ust u mężczyzn. Powiesz, co z tego, czytelniku, i ja się zgodzę, pod jednym warunkiem. Musisz sam przyjść i się pokazać. Annie Nikołajewej i mi. Nie jest tak bowiem, że gdyby Nikołajewa pragnęła seksu na przykład, szerokich przejść między galeriami czy obrazów prezentujących masakrę i krew, to sprawy miałyby się normalnie. Nie. Tu jesteśmy z Anną zgodni.

Jest wcześniej, ale dobrze zaznaczyć, że Anna Nikołajewa istnieje. Naprawdę. W żadnym wypadku nie może być tak, że Anna Nikołajewa zwija się, gdy zamykam oczy. Nasz dialog, czytelniku, odbywa się w trójkącie wypełnionym treścią usadzoną w czasoprzestrzeni. Chyba że leżysz, choć ja bym tak nie zakładał. W lekturze ponad wszystko musimy wielbić rygor, bez niego rządziłby nami czysty przypadek.

Anna Nikołajewa kiwa na mnie, żebym więcej nie mówił.

Ja się Anny nie dopytuję, ty zaś, czytelniku, coś chciałbyś, to byłoby duże, na pewno drogie, dobrej jakości, jak ów zegarek, który ktoś jeszcze w przyszłości do ucha przyłoży. Żeby się wsłuchać w mechanizm. Czy robi to ty? Anna Nikołajewa wzrusza ramionami, sięga po butelkę. Nalewa. To znak, że cierpliwość powoli ulatuje z niej. Aha, Anno, ok, więc według ciebie jestem rozgadany. Bynajmniej! Upuszczam rzecz jak krew, próbując zrobić to, co ty zrobiłabyś w scenariuszu, który uznałabyś za ciekawy. Dobry.

No, hej. Wyciągam rękę. Ramię boli. Jest przetrącone w rezultacie wczorajszych zdarzeń. Szedłem ulicą i byłem na wiele gotowy, na wpierdol pałką też, ale okoliczność, że dorwie mnie matka, nie przyszłaby mi do głowy. Dałem się zaskoczyć. To potężna kobieta, silna. Szarpnęła mnie, zaciągnęła

w kąt, uderzyła. Kazała się zebrać w sobie, ostrzegała. Miałem dzwonić do ojca, to był jej warunek. Nie że później, teraz. Lecz nakaz przerwał podmuch, daleko nastąpił wybuch. Matka wzruszyła ramionami i coś w powietrzu kliknęło. Matka wyjęła fajkę z torebki, zapaliła. Ja stałem, a ona w dymie poszła naprzód. Ojciec, wiadomo, nie odbierał. I oto, czytelniku, jestem. W głowie, zrozum, wracam do domu, ale proszę nie przejmuj się. Ty się musisz przyzwycząić.

A więc pokazałeś się. Aha, świetnie, idziemy. Anna od kilku dni zachowuje się, jakby świat miał się walić, więc wyszedłem sam po ciebie.

Wieje.

Stary motyw, inaczej, bez wiatru, nie wrócimy na wybrzeże. A od zawsze nas ciągnęło do wydm. Tam Anna Nikołajewa najchętniej wyciąga notatki, ołówki. Ostry. Zeszyt w kratkę. Koniecznie sześćdziesięciostronicowy.

Mój Boże, co to był za film, za obrazek. Od wspomnień ogień się we mnie tli, albo czuję się tak, jakbym się pocił od folii. Całkiem nią owinięty. Już raz, w okolicy wydm, rozdrapywany przez miłość, oświadczyłem się Nikołajewej. A ta, czekając na dobry moment – tykało – powiedziała nie. Czy ty to czytelniku rozumiesz? Powiedziała nie, wymachując tym swoim ołówkiem. Krzyczała – skarbie, to nawet nie był seks. Przeczekałem jej złość, milczeliśmy parę dni, minął maj i zrobiło się ładnie. Ocalałem.

Z Anną tak jest, ale ty czytelniku, widzę, masz niezłą kurtkę, i czapkę masz okazałą. Idziemy coś zjeść? Chodź, znam jedno miejsce. Dają dobrze. Czy dużo? Zależy od ciebie, ale wyglądasz, jakbyś lubił się najeść. Ja ciebie nawet rozumiem, czasy są trudne, coraz mniej ptaków lata nam nad głowami, z owadami jest różnie, niektórzy mówią wprost, że źle. Nade

wszystko musimy zdążyć. Owszem, napchać się. Choć ja zaczynam skupiony przy stole, wyglądam jak jogin. Siedzę. Stygnę. Wzrok utkwiony w jednym punkcie. Dla ciebie mogę też tak zrobić. Chcesz?

Dobra, bo widzę, że chwili brakuje, abyś się wkurwił. Jemy.

A gdybyś tak podał mi kromkę? Dzięki. Piękna przeszła dziewczyna, co nie? U Czechowa podobna przechodziła, karmiła. W opowiadaniu, nie pamiętam, w którym, ale miała imię na P. Jeszcze parę rzeczy wiem i uprzedzam, że mogę ujawnić. Anna Nikołajewa ciągle powtarza, że jestem raptowny. Często powściąga mnie, ale wyrywam się jak pies. I chociażby z tego powodu, proszę czytelniku, nie próbuj mnie bardzo zatrzymać, albowiem pies potrafi upierdolić.

Najadłeś się? Ok, bo wiesz, musimy się zbierać. Będą takie budynki na drodze..., nooo..., poprzeciskamy się. Ja ci to obiecuję. Nie martw się. Dzień jest szklisty, ale piękny, samochody jadą, ludzie pędzą, spójrz, że się nie przewracają. Porządek został zachowany. Idziemy, mija nas czarny koleś. Za nim biały, niski. A potem kilku takich se, normalnych. Kobieta z dzieckiem, kobieta z kotem. Starcy z wnukami. Wnuki ze starcami. Zza winkła wyłania się szwadron sióstr zakonnych. Odział żołnierzy w barwach ochronnych. Sunie przedszkole, dzieci głaszczą się. Dziwnie. Idzie polityk, za nim podwładni. Młodzieżówka partii. *Prime minister ssie palec*. Piłkarze cieszą się, kopią. Amazon wystawił chorągiew, ona pachnie sikiem. Bo pieluchy kończą się. Ale górnicy, patrz, z czarnymi oczami. Ale rolnicy, wow, rzucają chleb. Mięso. Księża mięso chapią, przełykają. Czy ty to widzisz? Gertych widzi. Poseł Pęk ma przed oczami. Piewca teatralny włada, nie widzi. Są dekorator wnętrz i posiadaczka szwalni. Za nimi, na wózku, Bangladesz upchany. Cały. I ci, co budują bloki, pchają się.

I ci, co kupują od nich. I ci.

Szeptam ci, ale się nie wczuwasz. Znam to, sam bym się z chęcią wtłoczył w marsz, go rozbił. Bo przecież tego chcesz? A potem stanąłbym pod budą z mięsem. I dużo bym brał. Dużo daj, usłyszałby ode mnie Libańczyk.

O, jest żul, nalega, że głodny. Biorę dużo i mu daję. Żul je, nawet się śmieje. Wszystko fajnie. Z teatru potok ludzi się wylewa. Ale oglądali! Ale podziwiali! Szczerze, to trochę ich podsłuchuję. Co sobie mówią, przecież to musi być fajne. Którzy aktorzy są dobrzy, przez ich podziwy wszystko wiem. Ja sobie notuję i później, w wyborach na co iść, ograniczam się do najmniejszych pomyłek.

Lekki tłum i znów wpadłem. Ograny start, że szkło, prujące samochody. Anna Nikołajewa zganiłaby mnie za potok ludzi. – Te defilady. – Tu wzniosłaby pięść. – Są nieprawdziwe. Złe. – Czy niemoralne? – Z kolei tu ja mógłbym się wkurwić, bo po co mi taki dzień. – Jaki? – To Anna. – To ja. – Bez odpowiedzi. – I tak byśmy prychali, niczym rozdrażnione koty. Ciebie też, czytelniku, wydarłem z trudem, bo już się szykowali, ci zwłaszcza od szwalni. No, żeby dostać cię. Mieć! A co dopiero dekoratorzy. Wiemy, co im wnętrza robią. Przychodzą w surdutach z armią asystentów. Parzą ich ajfony w rękach, gorące od maili. Co się dzieje w kompach, to ja nawet nie chcę wiedzieć. Każdy ich projekt to obóz. Przywołują architektów. Z zewnątrz. Najlepszych. Potem już jest blisko prezydentów. Miast, państw. Oni namnożeni, stłoczeni, dociskają takich, jak my. Żebyśmy w ich obozach zostali, se pościelili. Na samą myśl tracę oddech. Patrz, jak mi się pierś zapada. Stuknij.

Mmm, nieźle, masz parę w rękach.

Odkaszlnąłem.

Zostawiliśmy barłóg pełen ludzi, git. Anna Nikołajewa miała

rację, super. Statek powietrzny wzbił się, paląc żarem parchów z obsługi naziemnej. Wielki pocisk wyostał się z przedziału torped, gdzieś, w dalekiej łodzi, i my w tym wszystkim docieramy się. Przed nami zapowiedziany kierunek. Bloki ściśnięte jak zęby w szczęce. Że nie docierasz do przerw nitczkami. Albo docierasz i boli. O to chodzi w przeciskaniu się. Nie od razu chciałem powiedzieć, wszystko wykladać na stół, nie. Ale skoro żeśmy to, tamto minęli, skoro żeśmy zjedli, pooddychali wspólnym powietrzem... Zresztą, od początku, gdy na ciebie spojrzałem, byłem pewny, że mogę cię wziąć do siebie. Na osiedle, a gdzie? Podejść pod klatkę 15B, krzyknąć, zobaczyć ją w oknie. Zgadza się, to o niej. – Ale Anno... – To ja bym był. – Trzecie piętro jak parter, no zejdz. – Nie mądrz się. – To ona by była. – Nie mam czasu, zmywam po kimś.

To by nas jednak nie zdeprymowało. To by nas, czytelniku podekscytowało. Pytanie, kto tam jest, ono by się nasuwało. Plac defilad, ty go jeszcze pamiętasz? Ale szli, podniecali się, ale cenili wolność. Prawie pominąłem tych, co z knajp wyłazili. Zewsząd. Ale nie szkodzi. Jutro na przykład, z kimś innym, w nowej batalii, wrócę do nich.

Gdybyś się chciał dołączyć..., hmm, to ja się zastanowię.

Na razie swoje kończymy. Wyciągamy. Normalnie, przeszkujemy spodnie. Każdy przecież coś ma w kieszeni. Spoko, może być z torby. Lubisz seks? Tak pytam, bo sam nie wiem. Wyglądasz swobodnie, dobrze. Błogo. A może nie seks, tylko wespniemy się. Do niej. Normalnie. Wszystkiego się dowiemy, zobaczymy. Porysujemy? Kto wie. Lubisz kredki? Zwoje? Papirus cię interesuje?

Ja jestem spokojny. Ty mniej. Gryziesz wargi nakręcony. Dobra, jeszcze tylko ziomki z bramy. Trzeba pogadać, zbić piątki. Znamy się nie od dziś. I może teraz ja chodzę z tobą, rozbijam się wśród miejsc, ale oni też potrafią o siebie zadbać. To nas wszystkich łączy. Gruz. Przedzieranie się. Czasem są

tylko okna i trochę ciężkie zasłony, a czasem naprzeciw stoi cekaem i walą w ciebie. Wtedy, kurwa, jest trudniej.

Więc może się już uspokoisz.

Ziomki dają znak. Wchodzimy. Klatka jest zdarta, brudna. Piękna. Mijamy kwiat. W tych drzwiach, za nimi, słyszysz? Jedne przedmioty ktoś włącza, drugie przechodzą w stan spoczynku. W innych drzwiach ból. Ale go czuć. Fale nam się nastrećzają. Trudno się chronić. Nie ślizgaj się. Uważaj. Możesz się mnie złapać, ale się nie zatrzymuj. No, jeszcze tu. Jeszcze jeden. Gdybyś nie wznosił głowy, to może byśmy dotarli. Już. Mój boże, teraz wspinasz się na mnie. Oplatasz nogi wokół bioder. Ramiona mi zaciskasz na szyi. Ciężki jesteś. Ale przecież dużo warty. Wykształcony. Objęty opieką na terapii. Odżywiony na poziomie. Wiedzący co i kiedy. Robi się. A czego nie można robić. Sam, ale nie samotny. Ogolony. Czasem na jajkach nawet. Że blockchain jest ważny, przekonujący innych ludzi. I że śmierć, niesamowicie przerażony. Tu cię mam.

Anna polewa. Mało na mnie patrzy, odkąd nastął mail. I ajfon. Ale że na ciebie nie? Żałuję. Gdy pytam, po kim teraz zmywa, odpowiada, że nie chcę wiedzieć. Daj spokój, warczy, odpuść sobie. Gdy jakby nalegam, to ona tym bardziej, że nie. Nic nie powie. Wyciąga jakąś rosyjską zabawkę. – Podaj pilot. – mówi. – Podaję. – Ale długi – mówię o nim. – Ona na to, żebym nie przeciągał. Przekłada baterię z pilota do czegoś, co teraz wydaje się moje. Pijemy. Taa..., że od razu wódkę. Neee. Po kieliszku wina, czule. Zwłaszcza tobie smakuje i Anna zbliża się do ciebie z zaskoczenia. Dotyka ust palcem, jest przy twoim uchu, dmucha ci w nie. Fffffff. Ssssss. Drżysz, a ona ci wszystko mówi, kto to był.